№ 36 Piątek, dnia 4 Czerwca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA dnia 23 Maja (4 Czerwca) 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

Z KWESTYI PRACY.

skreślił

Kazimierz Niemierowski.

I.

Praca i fałszywy wstyd pracy.

W obec wszechstronnego postępu, którego objawy napotykamy oniemal na każdym kroku —postępu, w kierunku różnych gałęzi przemysłu, handlu, nauk i sztuki— nie od rzeczy będzie powiedzieć słów parę *o pracy*, która głównym jest motorem tego koła atrakcyi, jedynem ciepłem i siłą tego urodzajnego sadu, darzącego nas wszystkich swym owocem soczystym, pożywnym a bez zaprzeczenia niezbędnym dla każdego z pracowników około jego uprawy.

Praca winna być najwierniejszą w życiu towarzyszką każdego uczciwego człowieka; praca jest słońcem bez promieni którego wegetacya bytu naszego zamiera, jestto lekarz ciała nie używający środków pośrednich; praca tylko — w częstych zdarzeniach upadku duszy, w troskach serca, w zgryzotach tęsknoty, w żalu i smutku — jedynym jest środkiem ratunku, a tem samem jest ona również lekarzem cierpień moralnych!... Praca więc jest dla nas wszystkiem,— jest owym zaczarowanym skarbem, z którego wolno nam czerpać do woli, a im więcej czerpać z niego będziemy, tym więcej przybywać mu będzie złota dla naszego wzbogacenia się!...

Że wszyscy pracować musimy i pracujemy to nieulega najmniejszej wątpliwości, i dlatego nie podnoszę tu ogólnej kwestyi pracy, nie badam kierunku jej zastosowania, ale zaczepię o samego *ducha* pracy, o pobudki składające nas ku niej.

Dwie są główne pobudki do pracy i dwa są rodzaje pracowników. Pobudkami temi są: *zamiłowanie* i *konieczność* pracy; zwolennikami pierwszego rodzaju są ludzie, którzy na to żyją aby pracowali; druga pobudka kieruje ludźmi, którzy dla tego pracują tylko aby żyli i tych ostatnich, niestety, jest znaczna większość między nami.

Świat jest polem walki,— ludzie szermierzami, a zapewnienie bytu nagrodą zwycięzcy.— Jedyną bronią w tej walce jest *praca*. W walce tej o chleb powszedni licznego zastępu pracowników, są dwa przeciwne sobie obozy: do jednego zaliczyć musimy tych, którzy z całą energią i pewnością siebie nacierają i tymi są pracownicy z zamiłowania,— do drugiego zaś tych wszystkich, którzy li tylko odpierają razy, a tymi są pracownicy z musu; która strona zwycięża?... nietrudno odgadnąć.

Ludzie pracujący z zamiłowaniem, obdarzeni są wielkim zasobem energii i cierpliwości; ludzie ci pracując—są w swoim żywiole, praca jest ich duszą, ich szczęściem i zdrowiem. Są to rycerze wytrwali w boju życia, przygotowani na wszelkie zmiany swego położenia materyalnego;—ludzie ci bez szemrania przerzucają się z jednej pracy w drugą—spełniając swe zadanie z całem przekonaniem obowiązku, obok zadowolenia, wypływającego z samej zasady ich świętych pobudek do pracy. O takich ludziach jako o mistrzach w sztuce pracy— nie będziemy więcej mówić, dodamy tu tylko, iż są to filary społeczne na których z całym spokojem można stawiać gmach postępu; nie cofną się bowiem na drodze raz obranej— nie ustaną na niej ani na jednę chwilę, chyba wtedy, gdy silniejszy od nich władca— czas, pochyli ich ramiona, lub gdy ich zamieni w nicość— śmierć, potężna życia władczyni.

Ludzie pracujący z musu, w zasadzie swego rozumowania mają odrębny styl myśli, poglądów, wniosków i dowodzeń. Są to ludzie, którzy z całą ochotą zgodzą się na ujęcie im połowy dni życia, aby tylko wymanić drugą połowę pozostawić im wolną i swobodną, aby dać im tę słodką pewność iż *jutro* spędzić mogą bez pracy — tej nieprzyjaciołki ich dążeń i upodobań. O! szafarze łask ziemskich, spojrzyjcie okiem litości na ten maluczki (duchem) zastęp waszych braci, nie dajcie im płynąć przeciw wodzie, sięgnijcie do waszych rogów obfitości i chojną ręką zatrzymajcie w fałszywym biegu nieszczęśliwych rycerzy na polu nędznej i nienawistnej im pracy!...

Jakkolwiek praca z musu jest ciężarem dla jej stronników, ale... jest w każdym razie pracą; — ludzie ci czują niesmak, niezadowolenie, gniewa ich ta praca— jednakże pracują; nie są to owe trutnie najgorszego gatunku, mają gdzieś w zakątku duszy ten odcień dumy własnej niedozwalający im stać się nieużytkami, owej dumy trzymającej choć czasowo na wodzy popędy do lekkiej i bezczynnej egzystencyi... Ale cóż jest stałego na tym padole płaczu? Bywają nieprzewidziane wypadki w skutek których pracy owej braknie; o! wówczas ostateczność i zguba dla tych ludzi. Brak pracy to dla nich wymówka próżniactwa. Wypadek taki wyrabia w nich to przekonanie że świat widząc ich bezwpływowo-krytyczne położenie i kolosalną trudność w wynalezieniu sobie nowego zajęcia,— świat ten mówię będzie miał ich za wytłómaczonych, za biedne ofiary położenia,— słowem za ludzi nieszczęśliwych, którzy pracowali, starali się o byt, a dziś mimo najszczerszej chęci— pracą zająć się nie mogą. Takie położenie gubi ich bezpowrotnie, a dlaczego? zobaczymy.

Zdarzenia o jakich wspomniałem są dziś na porządku dziennym, — naprzykład: każde bankructwo domu handlowego; zmniejszenie się ruchu na drogach żelaznych; zwijanie lub reorganizacya władz rządowych lub instytucyi prywatnych i t. p. są to nieprzewidziane ale dotkliwe wypadki, zwłaszcza dla ludzi, jak mówiłem, pracujących z musu.

Do tego ich upadku w podobnych razach przyczynia się wada śmiertelna i zabijająca, a tą jest *fałszywy wstyd pracy*, wyradzający się w wysokim stopniu — dla łatwiejszego usprawiedliwienia wrodzonej niechęci do wszelkiego rodzaju zajęć. Zresztą z łatwością przekonać się możemy spojrzawszy tylko na około siebie, czyż mało rodzin ma w swem łonie takich losowych nieszczęśliwców?... Ale cóż... pan buchalter domu handlowego pozostawszy bez miejsca nie może przyjąć obowiązku inkasenta — dlaczego? bo fałszywy wstyd nie daje mu zniżyć się do podobnej pracy. Nadzorca fabryki lub warsztatu przy kolei żelaznej, uwolniony dla braku zajęcia nie chce przyjąć posady konduktora przy tejże drodze — dlaczego? spytajcie go oto. Urzędnik spadły z etatu— obarczony jak i tamci liczną rodziną kręci się biedak to tu— to tam; dobrzy przyjaciele, już gdyby nie dla niego to dla drobnych dzieci, starają się o jakie miejsce i... znajdują— ale niestety!... praca ta jakkolwiek łatwa nieodpowiada zajmowanemu poprzednio stanowisku— nie może więc jej przyjąć! dlaczego?... bo wstydzi się pracy, bo woli patrzeć na znoszoną dzieciom jego jałmużnę, czekać na coś lepszego—a czekając próżnować.

Czy to dobrze? czy to jest godnem człowieka?... czy zdrowie i siły dane nam przez Boga — owarunkowane są stanowiskiem naszem w świecie?... czy ogół ludzi pracy nie zarzuci błotem takich pasożytów, którzy, o zgrozo! wolą poniżenie w próżniactwie, niż pracę na

skromniejszem polu— ale uczciwą i chlebodajną?.....

Wieleż takich przykładów mamy przed oczyma; fałszywy wstyd pracy jest jedną z plag społecznych — plag gubiących całe rodziny i przysposabiających ludzkości tysiące darmozjadów i próżniaków!

W dzisiejszych, rzeczywiście krytycznych, czasach daje się czuć brak pracy, ale ten brak istniejąc tu w samem mieście—nie istnieje w całym kraju. Czyż świat pracy kończy się przy rogatkach Warszawy? czy już nie godzi się przestąpić jej progu, aby poszukać chleba? czyż tu jest wyłączna koncentracya pracy kilku milionów ludzi?... nie! ale cóż bo za zajęcie można znaleść tam gdzieś... w ciemnym kąciku kraju... Zresztą człowiek, który lat wiele nasycał gród ten dymem papierosów i kurzem stóp swoich jakież tam może znaleść godne siebie zajęcie?

A jednak wieluż ludzi z pomiędzy tych przesiąkłych fałszywym wstydem pracy—znalazłoby byt i korzystnie zeksploatowało swe wiadomości i pracę już to dla samych siebie— już to dla drugich. Wierzajcie mi! obok swej pracy możnaby wiele bardzo moralnej korzyści zanieść ze sobą w te ciemne kąciki kraju, jak je nazywają,— a cóż to za zasługa, cóż to za rozkosz dla dusz zacnych i prawych!

Niech nas nie wstrymuje na tej drodze przesąd lub źle zrozumiana ambicya. W obliczu ludzi miłujących pracę, krok taki będzie prawdziwą zasługą, będzie to krok szlachetny i budujący, a czyż godzi się wreszcie zwracać uwagę na uśmiech ironii jakiegoś tam pasożyta,— jakiejś jednostki bezrozumnej?

Wzgląd naszego osobistego dobra, owa pewność siebie,— pewność bytu,— niech będzie tem ogniskiem oświecającem nam drogę pracy i kroków naszego życia. Chleb jest wszędzie gdzie są ludzie z zamiłowaniem pracy i dobrze zrozumianym powołaniem człowieka, a fałszywy wstyd tej pracy pozostawmy tym—którzy od pierwszej chwili życia do grobu— wykradają soki społeczne na swoję korzyść... tej gromadzie opryszków społecznych, bez których żaden kraj, choćby najwięcej ucywilizowany—obejść się nie może.

PRZEGLĄD LITERACKI.

„Z obozu do obozu“ powieść, przez Michała Bałuckiego.

Pan Bałucki pragnie nam przedstawić człowieka pozbawionego żelaznej siły charakteru i *przekonań*, człowieka przechodzącego „z obozu do obozu“ i oddanego na pastwę walki wewnętrznej.

Dość często uderzają ucho wasze wyrażenia takie jak: przekonanie, przekonania, albo też: ten człowiek niezmiennym jest w swoich przekonaniach (to mniej często uderza ucho wasze) lub też tamten jest człowiekiem bez przekonań, ponieważ je zmienia często. Głównie tu mamy na myśli ludzi występujących na arenie politycznej. Każda taka politycznie występująca jednostka, przez zdolności swoich, jakiemi ma służyć ogółowi, powinna objawić postępkami wyznanie politycznej wiary swojej, czyli, że powinna określić charakter swoich przekonań. Wybitniejsze takie jednostki reprezentują przekonania stronnictwa, do którego należą i w duchu tego stronnictwa pracują. Zanim stronnictwo złożyło zaufanie swe w ręce swoich reprezentantów, przekonało się wprzódy o szczerości ich przekonań, o ile to było możliwe. Reprezentanci owi zmieniając przekonania swoje zdradzają interes i zaufanie stronnictwa. Dwie mogą być przyczyny zdrady podobnej: albo zaufany reprezentant przeniewierza się stronnictwu dla celów samolubnych przechodząc do obozu innego, albo czyni to przekonawszy się, że zarówno on jak i stronnictwo na fałszywej znajdują się drodze a temsamem działając nadal w duchu dotyczczasowych swych przekonań mogą przynieść znaczną szkodę krajowi. Niezłomność przekonań w narodzie zawisłą jest od temperamentu tego narodu i od bezpośrednich zewnętrznych przyczyn. Im naród jaki więcej posiada zmysłu konserwatywnego i im dojrzalszym jest politycznie, tym przekonania w nim panujące posiadają większą siłę trwałości. Przeciwnie zaś się dzieje w społeczeństwie, które nie zdołało się jeszcze przekonać, albo też które nie potrafiło ocenić jakie pierwiastki moralne mogą być dlań zbawiennemi. W społeczeństwie więc wyrabiającem się politycznie, zmienność przekonań i zarazem wielka ich rozmaitość bywa na porządku dziennym.

Pan Bałucki pragnie przedstawić czytelnikowi społeczeństwo, które wyrabiając się w publicznem życiu, wydaje ludzi burzliwych, krańcowych, i pozbawionych pozytywnego gruntu pod nogami, a tem samem zmiennych naturalnie.

Bohater pana B. należy do liczby tych zmienników, którzy porzucili dawne swe *przekonania* dla celów samolubych. Mamy tu do czynienia z człowiekiem partym miłością własną i dumą namiętną, dla których w zaślepieniu swem pomija właściwe dobro publiczne. Nie jest to człowiek skrystalizowany, który z chłodnym rachunkiem i wyrozumowaną filozofią egoizmu przechodzi do obozu, gdzie spodziewa się polepszenia losu swego i urzeczywistnienia swych ambicyi samolubych. Bohater powieści p. Bałuckiego czyni wprawdzie tak samo, ale czyni to bez zimnej refleksyi, pod wpływem raczej gorączki ambitnej. Uważamy, że autorowi chodziło o przedstawienie charakteru swojskiego, o zilustrowanie społeczeństwa, które znamy. Aby myśl tę artystycznie uskutecznić autor postawił sobie plan niezmiernie szeroki—postanowił przedstawić nam arystokracyą z różnemi odcieniami i demokracyą w różnych odmianach. Między dwoma biegunami umieszcza autor stopniowane strefy temperamentów.

Hrabia Medard reprezentuje umiarkowanie postępowego arystokratę pośród różnobarwnego swego otoczenia, ultramontańskiej krańcowości, moralnego zepsucia i zacnych chęci. Fanatycznym demokratą jest Urban, postać zamaszysta, nie przebierająca w środkach szujowata, ale oryginalna i konsekwentna. Jestto współpracownik Gazety, do której należy dwóch umiarkowańszych i uczciwych ludzi t. j. sam rddaktor i doktór Seweryn. Do dziennika tego wchodzi nowy szermierz *Antoni Kowalski*, który swoim pisarskim talentem i usposobieniem imponującem zdołał opanować w redakcyi wszystkich, wyjąwszy Urbana, niepodległego i zajadłego demokratę. Prócz tego spotykamy się tu z klasą rzemieślniczą i ludem, który występuje parę razy masowo na publicznych zgromadzeniach.

Wspomniany Antoni Kowalski, bohater powieści, pochodzący z ludu, pragnie zostać tegoż reprezentantem i obrońcą.

Wszyscy ci ludzie pojmują po swojemu środki i drogi prowadzące społeczeństwo do pomyślności i zbawienia. Autor postąpił bardzo rozumnie nie wynosząc zbytnio jednej sfery społecznej kosztem drugiej. W każdej z tych sfer odnajdzie strony dotatnie i ujemne. Szkoda, że p. Bałucki nieprzeprowadził myśli tej sobności. Dziś możemy tylko zaznaczyć, że trzej dyrektorowie pierwszych naszych towarzystw prowincyonalnych mają pole do współzawodnictwa o lepsze a to nietylko co do dobrego przedstawienia sztuk przez siebie grywanych ale i przedewszystkiem co do trafnego i umiejętnego ich wyboru. Wiemy doskonale, że dyrektorowie bardzo rachować się muszą z wymaganiami publiczności, ale z drugiej strony powinniby starać się o to, aby w ich repertoarach nie znajdowało się nic takiego coby zamiast naprawić smak publiczności zepsuć go tylko mogło. Powoli tłumy uczęszczające do ogródków zagustują w strawie poważniejszej—trzeba tylke podać im ją umiejętnie.

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Ciepło i pogoda sprzyjały w ciągu ubiegłego tygodnia wszelkim obchodom odbywanym pod gołem niebem, to też i procesye po ulicach w dzień Bożego Ciała i w niedzielę po tej uroczystości ściągnęły niezmierne tłumy pobożnych. Jestto jeden z tych obchodów, który rzadko kiedy się u nas udaje bo najczęściej deszcz staje na przeszkodzie odbyciu procesyi po ulicach miasta. W tym jednak roku stało się przeciwnie i zarówno południowe procesye od św. Jana i od św. Krzyża, jak i poobiednie od św. Aleksandra i od św. Karola Boromeusza odbyły się przy nader licznym udziale pobożnych pragnących uczestniczyć w obchodzie tej uroczystości.

Przed kilkunastoma dniami rozstał się z tym światem ś. p. Tomasz Dziekoński, były dyrektor gimnazyum, znany pedagog i przyjaciel młodzieży, dla której rzeczywiście pisać umiał. Był to człowiek wielkiej pracy i wielkiej zasługi. Na skromnem stanowisku jakie zajmował zyskał sobie miłość i szacunek tych wszystkich dla których kiedyś wzorowym był przewodnikiem. Jako literat poświęcał swoje zdolności wyłącznie pracom w kierunku pedagogicznym i naukowym i na tem polu zyskał sobie pamięć, która długo jeszcze między nami żyć będzie, choć ten człowiek cichy, prawy i uczony nazawsze już spoczął w mogile. Cześć zacnej jego pamięci, spokój jego cieniom!

Teatry ogródkowe wcześniej w tym roku rozpoczęły swoję letnią kampanią niż zwykle. Pierwsze przedstawienia dane w dniach 30 i 31 maja poświęcone były na różne cele dobroczynne, właściwy zaś sezon rozpoczął się we wtorek to jest w dniu 1-ym czerwca. Same ogródki i teatrzyki, zwłaszcza w Eldorado i Alhambrze zostały znacznie udogodnione i przyozdobione. Co zaś do składu towarzystw pp. Teksla, Trapszy i Grabińskiego, to pomówimy o nich później nieco przy zdarzonej spo-

W sali warszawskiego ratusza p. Godebski znany zaszczytnie artysta-rzeźbiarz urządził wystawę dzieł swoich przeznaczając dochód otrzymany z tego źródła na cele dobroczynne. Wystawa składa się z kilkunastu dzieł sztuki, między któremi najwięcej zauważyliśmy portretów. Obok nich jest kilka modeli do prac większego rozmiaru. Zanim damy o tej wy-

silniej i dosadniej, co wypłynęło ze znacznych wad architektonicznych, o których jeszcze wspomnimy.

U nas, jak zresztą i wszędzie powieść bywa zwykle apologią jednej lub drugiej sfery społecznej. Jest to skutiem albo braku bezstronności i kastowego fanatyzmu albo też skutkiem wadliwej obserwacyi. W bieżącym zwłaszcza wieku, cywilizacya chociaż nie zdołała zatrzeć różnic sfer społecznych, potrafiła je wszelako skojarzyć pod względem inteligencyi i pojęć moralnych. Trudno nawet przypuścić, aby sfery społeczne żyjące mniej lub więcej w jednakich warunkach umysłowych, mimo rozmaitości tradycyjnych spadków, zdołały odgraniczyć się bezwzględnie w zakresie swej wewnętrznej wartości. Sądzimy, że autorowie posuwają się do przesady, apoteozując jednę sferę a malując drugą w barwach ciemniejszych znacznie. Wszystkie one mają swoje ujemne i dodatnie właściwości. Głębszą przyczyną tej niesprawiedliwości autorskiej jest zjawisko następujące: Jedno pokolenie autorów wynosiło przypuśćmy arystokracyą, kosztem sfer niższych;—pokolenie następne w skutek samej już reakcyi i w chęci zdobycia pomysłu nowego, zaczyna w potępianej albo lekceważonej dotychczas sferze dopatrywać się przymiotów dodatnich. Przymioty te stopniowo rosną w oczach nowych autorów, którzy też oddalając się od poprzedników poniżają ich ideały, wynosząc swoje. Prawie na pewno powiedzieć można, że na ową przemianę nie bardzo wpływa zmiana moralności i wartości umysłowej pojedynczych sfer. Sądzimy bowiem, że jeżeli w danem pokoleniu panuje silne zepsucie np. w arystokracyi, to na pewno powiedzieć można, że panuje ono w społeczeństwie całem—a wspomniana zmiana autorskich przekonań nastąpiła raczej w skutek reakcyi pisarskiej. Sfery społeczne łączy jakkolwiek bądź interes wspólny, jedne potrzebują drugich, jedne zapatrują się na drugie a przytem zasilają się wzajemnie. Umysłowość przytem nowoczesna wpływa emancypacyjnie i wpływa wszędzie z niepoślednią siłą. Nie powiadamy, żeby moralność i poziom umysłowy *bezwarunkowo* był jednakim we wszystkich społecznych sferach; sądzimy wszelako, że różnice istniejące nie mogą upoważniać autorów do moralnego monopolu na korzyść mieszczaństwa, szlachty lub arystokracyi. Do wypowiedzianej tu zasady, z trudnością dałyby się wciągnąć klasy wyrabiające się np. dobrokiewicze, a głównie żydzi jako żyjący odmienną atmosferą. Należy więc traktując artystycznie owe sfery społeczne, trzymać się zasady *suum cuique*. Tak też zamierzył postąpić autor „*Z obozu do obozu*,“ nie wykonał tego jednak z odpowiednią siłą, gdyż malując owe sfery zaniedbuje to jednę to drugą, nie trzyma sfer tych w odpowiedniej obok siebie proporcyi i wyrazistości, na co przecież w początku zanosiło się dostatecznie. Rzadko zdarza się odczytać powieść, któraby podobnie jak „z obozu do obozu,“ odznaczała się tak niepospolitą liczbą wzniosłych myśli, pojedynczych piękności, szlachetnych zamiarów obok niekonsekwencyi psychicznych w postaci głównej, obok opieszałości, zaniedbania i pośpiechu w wykonaniu.

Po przeczytaniu tej powieści dochodzimy do przekonania, że utwór ten planował się w umyśle autora dopiero w ciągu pisania powieści samej. Przedewszystkiem zaś spostrzegamy, że autor, powieściowy swój furgon przeładował tendencyjnym ołowiem. Obok bowiem dążności głównej spostrzegamy tam znaczną ilość tendencyjnych fragmentów i tyrad, które pasują autora nie tyle na powieściopisarza, ile raczej na znakomitego obywatela przemawiającego do ogółu słowami gorącego patryotyzmu i nauk szlachetnych. Autor postępuje w tym względzie z zupełną świadomością powiada bowiem na st. 511 przez usta bakałarza Steinberga: „Na co się zdało człowiekowi czytać najgenialniejsze opisy okolic najpyszniejszą charakterystykę dziwaków i oryginałów, za którą uganiają się artyści. Celem każdego dzieła sztuki, a specyalnie *powieści*, jest, aby człowieka podnosiła, aby z niej można było wynieść dla siebie kilka prawd głębszych, poznać życie i nauczyć się żyć.“ Zdanie tu przytoczone nader jest rozumne, ale stosowane forsownie w zakresie tendencyjności powieściowej stawia przeszkód masę, których właśnie tym razem autor nie mógł przełamać, mimo pisarskiego swego talentu.

Autor w tym względzie posuwa się nieraz tak daleko, że sytuacye najgorętsze chłodzi refleksyą doktryn licznych. Doktór Seweryn pragnie wyzwać na pojedynek Urbana. Udaje się tedy do rozumnego fabrykanta Milutyńskiego prosząc go nad świadka. Doktór upiera się przy swoim—Milutyński zaś perswaduje i odradza. Wszystko to nie przeszkadza im rozprawiać szeroko o zbawiennym wpływie nauk przyrodniczych na zwycięztwo demokratycznych pojęć. Żaden powieściopisarz tak często i tak upornie nie reklamuje chwały historyi naturalnej jak p. Bałucki. Dalej znów autor obok dążności wypowiedzianej pod postacią Antoniego Kowalskiego, wprowadza na scenę Władysława brata kochanki Antoniego i przez nową tę postać wypowiada znów tendencyą inną, Władysław dyletant muzyczny, bez majątku, żyjący z siostrą swą na łasce hr. Medarda, puszcza się w świat i znajduje w znacznej fabryce pracę i utrzymanie w okolicach Wiednia po dość ciężkiej walce z głodem i przeszkodami. Cały ten fragment, w którym Władysław zmienia się na dzielnego i praktycznego człowieka jest apoteozą pracy i instytucyi stowarzyszeń robotniczych. Fragment ten wyraziście skreślony osłabia w pamięci czytelnika tenendcyą główną, bardzo wadliwie ilustrowaną w osobie bohatera Antoniego. Wyradza się w ten sposób chaotyczność tendencyi, z której czytelnik nie wielką może odnieść korzyść, o co autorowi bardzo przecież chodzi, aby bowiem czytelnik „mógł z powieści poznać życie i nauczyć się żyć“ są to słowa autora, potrzeba właśnie życie to dobrze przedstawić w artystycznej ramie, tak iżby plany dalsze nie absorbowały silniej uwagi widza od planów głównych co właśnie spostrzegamy w powieści p. Bałuckiego. Czytelnik odwraca się od postaci stojącej na planie pierwszym jako nie sympatycznej i potłuczonej, a chętnie przygląda się postaciom mniej ważnym i zajmującym, lecz dość luźno przyczepionym tendencyom. Tem, czem w artystycznym względzie był Wiedeń dla losów Władysława, tem Władysław ze wszystkiemi swojemi stosunkami mi ma być dla bohatera powieści i jest nim rzeczywiście. Władysław jest niejako odwrotną stroną medalu, mieści się w nim tendencya pracy organicznej wobec szamotania się i burzliwości Antoniego. Myśl to najpiękniejsza w całej powieści. Szkoda więc tym większa, że bohater powieści został zrujnowanym. Widocznie autor niepotrafił sobie umiejętnie utworzyć owego centrum, z którego rozchodziłyby się promienie, przemawiające od siebie mocno a pośrednio przyczyniające się do uwydatnienia szerokiego głównego tematu, w jakim sobie autor upodobał. Forma powieściowa daje autorom niezwykłą swobodę, którą sobie powieść słusznie zresztą wyrobiła, poruszając liczne kwestye społeczne obyczajowe, a nawet polityczne. Trzeba jednak umieć korzystać ze swobody takiej i nie nadużywać jej zbytnio. A w tem właśnie mieści się znaczne przewinienie autora „*Z obozu do obozu*.“ Przejdźmy obecnie do głównego bohatera, któremu czyniliśmy zarzuty, bez koniecznych potemu motywów.

(*D. c. n.*)

---

stawie obszerniejsze we właściwej rubryce sprawozdanie, nie możemy się powstrzymać od zachęcenia tych z czytelników naszych, którzy wystawy rzeczonej jeszcze nie zwiedzili, do jej obejrzenia, czego z pewnością nie pożałują. Pan Godebski jest jednym z tych rzadkich dzisiaj artystów, którzy rozumieją sztukę i zawsze poważnie tylko i szlachetnie ją traktują. We wszystkich wystawionych pracach obok dokładności rysunku i czystości linii znać prawdziwą potęgą i imponującą siłę. Inwencya przytem odpowiada zawsze wykonaniu i jest nawskroś poetyczną. Dlatego też szczera podzięka należy się panu Godebskiemu za zaznajomienie nas ze swojemi dziełami, które w rzeczy samej należą do *sztuk pięknych*. Dziwna tylko rzecz, iż jak dotychczas publiczność niedosyć licznie odwiedza wystawę—na co ona w zupełności zasługuje. Nie możemy posądzać ogółu o obojętność—i wolimy raczaj przypuszczać, że powodem zwiedzenia wystawy przez zbyt małą liczbę osób jest wrodzone nam lenistwo i zwyczaj ciśnięcia się do obejrzenia rzeczy na widok publiczny wystawionych wtedy dopiero, gdy już tylko parę dni czasu potemu pozostaje.

Jeszcze jeden z artystów dramatycznych naszego teatru zmarł przed kilkoma dniami. Był nim ś. p. Władysław Zaremba, od ośmiu miesięcy zaledwie zaliczony w poczet artystów tutejszej sceny. Zaremba miał rzeczywiste zdolności, czego dowody dawał występując przez lat kilka w różnych towarzystwach prowincyonalnych a ostatecznie w towarzystwie p. Trapszy, gdzie z powodzeniem istotnem grywał pierwszorzędne charakterystyczne role. Na naszej scenie nie miał ani czasu ani sposobności rozwinięcia i wykazania w całej pełni swojego talentu, bo wkrótce po przyjęciu go na stałego artystę teatrów warszawskich trawiąca go oddawna choroba piersiowa rozwinęła się silnie i wreszcie zabrała scenie sumiennego i zdolnego pracownika, który całem sercem kochał sztukę i dla niej tylko życie poświęcił.

— Kolej Nadwiślańska stanowiąc jednę z ważniejszych gałęzi komunikacyjnych między morzami Czarnem i Bałtyckiem, przetnie znaczną liczbę rzek i strumieni obficie zraszających cały ten poziom.

Jako dzieła sztuki wodnej architektury, pierwszorzędne zajmują miejsce mosty na większych rzekach, mianowicie:

Na Wkrze, jedno przęsło 30 sażeni otwartości.

Na Narwi pod Modlinem most skośny o 3-ch przęsłach po 35 saż. każde.

Na Wieprzu za Stężycą, dwa przęsła po 25 sażeni.

Na Bystrzycy pod Lublinem jedno przęsło na 25 sażeni.

Na Wieprzu pod Trawnikami dwa po 20 s. i nakoniec na Bugu pod Dorohobuskiem trzy po 25 sażeni.

Oprócz wymienionych większych mostów są jeszcze inne, na Świdrze, na Wildze, Radomirce po 10—15 saż. otwartości i wiele pomniejszych od jednego do ośmiu sażeni światła. Wszystkie mosty większe będą żelazne systemu krzyżulcowego—to jest o rzadkiej

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Sam Jakób Bellini ma tylko tę zasługę, że nauczywszy się malować olejno od malarza Gentile Fabriano sprowadzonego przez, senat wenecki do pałacu dożów, naukę tę dzieciom swoim i zięciowi przekazał.

Z dwóch synów Jakóba, Gentile Bellini bardzo wcześnie był dla ojczyzny swojej straconym gdyż jak tylko nabrał trochę sławy sułtan Mahomet zażądał, aby rzeczypospolita przysłała mu tego malarza. Sułtan był wtedy wszechpotężny i senat wenecki natychmiast wysłał do Stambułu młodego artystę, który tam najpiękniejsze lata swej twórczości przebył. Z tego to właśnie czasu powstało opowiadanie, nie wiadomo prawdziwe czy zmyślone, że gdy Bellini spierał się z Padyszachem o rysy i ściągnięcie nerwów w głowie człowieka ściętego tenże Mahomet na próbę, ściął w oczach artysty głowę niewolnika, który mu towarzyszył do pracowni. Bądź co bądź Gentile Bellini, kiedy w póżnym już wieku powrócił do Wenecyi z podróży po Egipcie i całym Wschodzie, nabrał gustu do wschodniej jaskrawości i dziwaczności. W obrazie „Kazanie Ś-go Marka“ spotykamy połowę osób w strojach weneckich, drugą, połowę w tureckich; w głębi widać kościół Ś-go Marka jakkolwiek scena rozgrywa się w Aleksandryi. Zupełna pogarda prawdy historycznej, którą tak słusznie zarzucają szkole weneckiej już w tym obrazie uczuć się daje. Oprócz tego jednego obrazu nie ma w Wenecyi żadnej innej pracy o którejby powiedzieć można stanowczo, że ją Gentile Bellini malował, jakkolwiek przewodnicy i katalogi wiele innych wskazują.

Jan Bellini zatem rzeczywisty ojciec szkoły weneckiej (ur. 1426 um. 1516) okazywał od najmłodszych lat talent do malarstwa, który też ojciec jego pielęgnował i rozwijał. Rysownik poprawny choć nieco suchy czasami, jak zwykle założyciele szkół on to wykształcił Giorgione i Tycyana, a choć miał już wtedy lat 62, przejął jednak od nich szerokość w traktowaniu i z tej epoki datują najznakomitsze jego dzieła. Jan Bellini tak był zamiłowany w swojej sztuce, że kiedy w 80 roku jego życia Albert Dürer zjechał do Wenecyi znowu po raz trzeci zmienił sposób traktowania idąc w tem za Dürerem. To też artysta ten ma trzy wybitne epoki, z których zacytować można następujące dzieła. I tak z epoki pierwszej w Palazzo Nouvo o Realo (pałac królewski) znajduje się Matka Boska z dzieciątkiem Jezus. W obrazie tym tło stanowi pejzaż letni, w którym się tak kochali malarze weneccy tem więcej, że go u siebie spotkać nie mogli. Również stanowczo z pierszej epoki jest obraz w kościeie Ś-go Piotra na Murano w którym Ś-ty Marek przedstawia Najświętszej Pannie siedzącej na tronie Dożę Barberigo. Z drugiej epoki napewno są „Chrystus u uczniów w Eumans“ w kościele Zbawiciela San-Salvator, gdyż znawcy nawet przez długi czas brali ten obraz za dzieło Giorgiona, tak pod wpływem tego mistrza był malowany; dalej Madonna w kościele Madonna del Orto i w kościele Madonna dei Frari obraz składany z trzech części „Madonna i dwaj święci.„ Z trzeciej najpiękniejszej epoki Jana Bellini są bez zaprzeczenia dwa tylko obrazy: „Madonna i czeterej święci“ w kościele Ś-go Zacharyasza, arcydzieło, które Francuzi zabrali do Paryża i bardzo podobne do poprzedniego dzieło w kościele Ś-go Franciszka della Vigna w kaplicy Giustinianich.

Obaczywszy sześć wymienionych przezemnie obrazów, światły czytelnik najzupełniej pozna i oceni całą działalność Bellinlego. W pierwszej epoce—rysunek dokładny, w drugiej wspaniałość kolorytu w trzeciej expressya i karnacya wzięta z Dürera.

Jan Belliui pozostawił jednak Wenecyi skarb najcenniejszy w dwóch uczniach swoich: Giorgone i Tycyanie.

Giorgio Barbarelli urodził się w Castelfranco blisko Treviso w r. 1478. Nazywano go Giorgione nie dla talentu ale z powodu kolosalnego wzrostu i niezmiernej siły fizycznej, która mu jednak nie przeszkodziła umrzeć w 33 roku życia. Prawda za to że śmierć tego mistrza stanowić może przedmiot do dramatu. Pewna część autorów jako powód jej podaje zdradę kochanki, którą mu miał porwać Pietro Luzzo jego uczeń. Według tradycyi jednak do dziś dnia istniejącej w Wenecyi rzecz się miała inaczej. Giorgione miał rzeczywiście kochankę, biedną istotę z ludu, cudownej urody, który używał za model do swoich Madon. Tymczasem w artyście zakochała się jakaś wielka dama, a dowiedziawszy się o jego stosunkach z biedną dziewczyną, zabrała Giorgiona z Wenecyi i ukryła w Castelfranco, przemieszkując tam z nim razem w swojej willi. Biedne dziewczę nie widząc swego kochanka z rozpaczy po nim umarło, o czem Giorgione dowiedział się niedługo. Otóż codziennie o wieczornej godzinie, tej samej w której ostatni raz swoję kochankę żegnał zdawało musię że widzi ją wchodzącą. Codziennie biedna dziewczyna zjawiała się przed nim, płakała i na pożegnanie całowała go wczoło. Nic nie pomogło; żaden środek nie mógł powstrzymać odwiedzin widziadła i biedny Giorgione o tej samej godzinie w której żegnał kochankę w rok niecały skonał wołając: idę do ciebie.

Co do jego talentu, to ten rozwijał się od lat najmłodszych, kiedy już jako odznaczający się rysownik w 15 roku życia wszedł do szkoły Belliniego. Rysunek suchy i sztywny, mistrz Giorgione zastępuje stylem wielkim i potężnym, traktowaniem śmiałem i szerokiem a kolorytem lekkim i jaskrawym. To przejście tak nagłe nie jest bynajmniej dziwnem w historyi sztuki. Przeskok od Belliniego do Giorgiona w szkole weneckiej jest ten sam co od Ghirlandaja do Michała Anioła, od Perugina do Rafaela, od Ottona Veniusa do Rubensa.

Obrazy Giorgiona są niezmierną rzadkością i napewno trzy tylko wskazać można dzieła, z których Wenecya się szczyci jako z prac jednego z największych mistrzów malarstwa i czwarte na współkę z uczniem Giorgiona Sebastyanem del Piombo dokonane. Dzieła te są: 1) „Święty Marek uśmierzający burzę“ w konfraternii Ś-go Marka w którym to obrazie rzeczywistem arcydziełem są herkulesowe postacie nagie, trzech wioślarzy wykonane z niezmierną siłą; 2) Zejście Chrystusa do piekieł w Pallazzo nuovo i 3) portret mężczyzny w Akademii sztuk pięknych. Obraz malowany na współkę z Sebastyanem del Piombo znajduje się w kaplicy kościoła Ś-go Jana Chryzostoma i przedstawia „Wyświęcenie tegoż Świętego.“ W obrazie tym podziwiać należy cudowną grupę kobiet o twarzach uroczych na których się zachwyt maluje. Wszystkie inne obrazy pokazywane za dzieła Giorgiona są wprost sfałszowane, gdyż oprócz wymienionych wszystkie inne albo zaginęły, albo malowane były al fresco i uległy powolnemu zniszczeniu.

(D. c. n.)

Kronika włoska.

(Dokończenie).

Poetów więc prawdziwych brak Włochom obecnie i nie czynimy im z tego powodu za-

---

kracie, z przyczółkami kamiennemi i filarami żelaznemi lub murowanemi. Mosty mniejsze będą również żelazne z belek pełnych—niektóre zaś będą murowane, sklepione. Relsy na całej drodze będą stalowe wagi dwudziestu funtów na stopę angielską.

W ogóle droga Nadwiślańska, stanie się w całym swoim przebiegu najgłówniejszą, a z wielu względów najważniejszą, arteryą komunikacyjną całego porzecza średniej i dolnej Wisły, aż do jej uścia — z Kijowem, Podolem i Odessą, a przez Tomaszów, Lwów, Czerniowce i Rumunią, sięgnie zachodnich kończyn morza Czarnego.

Okolice zwłaszcza po tamtej stronie Narwi, oraz między Wieprzem a Bugiem, pozbawione dogodnych komunikacyi, zyskają bardzo wiele pod względem ekonowicznym z otwarciem tej nowej drogi. Lubelskie ze swą wyborną ziemią, z mnóstwem, rzek, strumieni i potoków, z zasobem dobrych w wielu miejscach materyałów budowlanych, przy dzielnej inicyatywie inteligentnych przemysłowców, który tam szerokie pole działalności znaleść mogą, i przy ożywczym prądzie stałej, dogodnej i szybkiej komunikacyi, rokować sobie może pomyślną przyszłość, pod względem rozrostu bagactwa ogólnego. Słowem kolej rzeczona uważaną być winnna, jako jeden z ważniejszych czynników, potężnie na rozwój przemysłu i handlu krajowego wpłynąć mogących.

Kąpiele wiślane już się rozpoczęły z nastaniem cieplejszej pory. Łazienki urządzono w tym roku wszystkie od strony Pragi ale zdaje się iż stoją one zbyt blisko mostu, bo widok kąpiących się bynajmniej nie jest przyjemnym ani estetycznym. Należałoby zwrócić uwagę na to, aby osoby kąpiące się nie wychodziły poza łazienkę, i nie przedstawiały się w adamowym stroju bynajmniej tego widoku nieciekawym przechodniom.

— Znane powszechnie przysłowie: lepszy niuch szczęścia, niż garść rozumu lub zasługi, fatalnym zbiegiem okolicznotci, mieczem Damoklesa zawisło w prawdziwem słowa tego znaczeniu nad ś. p. Stanisławem Staszycem. Olbrzymia ta postać ideału obywatela, wyrosła pomiędzy naszem spoczeńswem, dotąd nietylko przez współczesnych ale i przez następne pokolenia nie została właściwie ocenioną, ale i uszanowaną. Dowodem tego ów filantropijny zapis, który przeleżawszy pół wieku w szafach archiwalnych, poruszony dla oczyszczenia go z pyłu i kurzu, dał powód do pogawędki o nim czas jakiś zanim poszedł znowu na jaki wiekowy odpoczynek. Apatia ta, tym jest boleśniejszą, że nawet miejsce wiecznego spoczynku zacnego obywatela, który nietylko całe swe mienie poświęcił dla uszczęśliwienia współbraci, ale całe życie niósł im swe bezinteresowne usługi czynem i piórem, nie zostało uszanowanem i nieubłagana dłoń czasu coraz wyraźniejsze piętnuje na niem ślady zniszczenia i ruiny. Warszawianie sypiąc pieniądze cyrkowym clownom, różnobarwnym prestidigitatorom, przedstawicielkom arcydzieł Offenbacha et consortes do takiego stopnia wypróżnili swe suchotnicze portmonetki iż zaledwie zdołali złożyć dotąd pół trzecia rubla na zreparowanie zapadłego grobu Staszyca.

rzutu, bo z istotną, natchnioną poezyą mało gdzie i rzadko kiedy dziś spotkać się można. Między inymi, a może więcej od innych odznaczył się na tem polu, obok Jana Pratti, nie od dziś znanego włoskiego poety, lirnik nasz Teofil Lenartowicz, którego zbiór poezyi przełożony parę lat temu przez Hektora Marcucci na język Dantów, Tassów i Ariostów p. t. „*Poesie Polacche*“ potrafił sobie pozyskać wiele pochwał wytrawnej i sumiennej krytyki. Jest to fakt tym bardziej godny uwagi, żc przekład, choćby najlepszy, za jaki *Poezye polskie*, przez samego autora Lirenki zostały uznane, nigdy oryginałowi nie dorówna, zwłaszcza zaś gdy poeta ma tak charakterystyczną formę jak nasz ludowy piosenkarz.

Gorzej jeszcze dzieje się z powieścią. Romans historyczny, po śmierci Manzoniego podpierają dotychczas stare jego filary: Grossi, Guerrazzi i Cantu; świeżych pracowników, którzyby im dorównać byli w stanie, odszukać trudno, a jeżeli zdarzają się pokuszenia o napisanie powieści historycznej, to te najczęściej kończą się równie niefortunnie jak debiut na tem polu Garibaldiego. Powieść historyczna wiele przedstawia trudności i prawdziwym tylko talentom otwiera szranki do popisu, ale powieść polityczna, jaki to rodzaj stanowić właśnie miały dwie chybione produkcye pisarskie wielkiego generała, więcej jeszcze od piszącego wymaga warunków. Utwór taki, jeżeli nie jest pisanym z talentem Montesquieu'go lub De-Maitre'a, będzie zawsze albo tendencyjną broszurą polityczną, przybraną w szatę więcej lub mniej skandalicznego i nie wolnego częstokroć od osobistości i paszkwilów romansu, albo lichą ramotą literacką osnutą na tle bieżących politycznych wypadków. Powieści, jakiemi generał Garibaldi obdarzył przed niedawnemi czasy swoję ojczyznę, należą do pierwszego rodzaju; polityczną wartość, choć bardzo osłabioną zbyt jaskrawem wypowiadaniem krańcowych przekonań, mogły one mieć przed wyzwoleniem Rzymu z pod władzy papieskiej,—dziś i tę utraciły już zupełnie; wartości literackiej utracić nie mogły—bo nigdy jej nie miały.

Ghislanzoni, Carcano, Bersezio i kilku innych pracują nad powieścią obyczajową i pracują gorliwie, alc to wszystko mało w stosunku do potrzeb i wymagań narodu. Dawniej jakoś to wystarczało, gdy włoskie państwa zamknięte w sobie, równie mało zwracały uwagi na to co się dzieje w innych krajach, jak i reszta świata mało zwracała uwagi na to co się dzieje we Włoszech. Dziś postać rzeczy całkiem się zmieniła. Obie strony patrzą na siebie uważniej, a publicznosć włoska żąda coraz więcej lekkiej powieściowej strawy, której miejscowi producenci dostarczyć jej nie są w możności.

To też panowie wydawcy wzięli się na sposób i zasypali czytający ogół lichemi przekładami lichych powieści francuskich. I nicby w tem nie było złego gdyby przekłady były nieco lepsze i wybór nieco lepszy. Ale panowie wydawcy nie zadają sobie tyle pracy i za tanie pieniądze, bo tom powieści tłómaczonej kosztuje mniej więcej franka, dają czytelnikom pokarm, po większej części zgniły i trujący. Chcąc się o tem przekonać, dosyć wziąć do ręki pierwszy lepszy katalog nowych wydawnictw powieściowych. Spotkamy w nim zaledwie jedno lub dwa nazwiska włoskie, ale obok nich spotkamy całe dziesiątki nazwisk takich jak Paweł de Kock, Feval, Ponson du Terrail, Gaboriau i im podobni, przy których figurują wszystkie ich dzieła, — najbardziej osławione na czele. Smutny to objaw i daj Boże aby los, jaki spotkał Francyą stał się przestrogą dla publiczności włoskiej i gust jej skierował ku rzeczom zdrowszym i posilniejszym, których obok literatury francuskiej obficie dostarczyćby mogła literatura amerykańska i angielska, niemiecka, szwedzka i niektóre ze słowiańskich. Dziś w owych katalogach spotykamy zaledwie jednę lub dwie powieści Dickensa i parę innych autorów, liczba jednak wszystkich powieści tłómaczonych nie z języka francuskiego dochodzi zaledwie liczby przekładów Pawła de Kock.

W braku strawy lżejszej, poważniejsi wydawcy garną się do innego rodzaju pracy, puszczając w obieg coraz to nowe, coraz tańsze i coraz piękniejsze wydania krajowych arcydzieł, jak np. utworów Danta, Tassa, Ariosta, Petrarki i innych opatrzone nowemi i o ile można najdokładniejszemi komentarzami. Pierwszeństwo przed innemi trzyma tu wydanie *Boskiej Komedyi* Danta, ozdobione wcale niezłemi ilustracyami i opatrzone krytycznym wstępem i poglądem na życie i pisma wielkiego poety, przez jednego z pierwszorzędnych dzisiejszych krytyków, profesora Mikołaja Tommaseo. (*Commedia di Dante Alligheri con ragionamenti e note di Niccolò Tommaséo. Milano. Francesco Pognoni*, *Tipografo-editore*, *1865*). Jest to jedno z najlepszych, jeżeli nie najlepsze wydanie tego wielkiego dzieła nieśmiertelnego poety, i profesor Tommaseo swojemi krytycznemi, filozoficznemi i historycznemi przypiskami więcej się zasłużył współczesnej literaturze włoskiej, aniżeli niejeden z tych, którzy dziesiątki tomów zadrukowanej bibuły w świat puścili.

Kiedy mowa o powieści i romansie to zanim przejdziemy do malarstwa i rzeźby wypada nam jeszcze w kilku słowach dać charakterystykę dzisiejszego stanu literatury dramatycznej. A nie zabierze nam to wiele miejsca i nie nastręczy dużych trudności bo wszystko co się powiedziało o poezyi i powieści i tu powtórzyć trzeba. W prawdzie autorów dramatycznych zastęp bardzo liczny występuje prawie codziennie w szranki scenicznego popisu, utwory te jednak mają najczęściej życie przez jeden tylko wieczór. Oprócz niewielu zdolnych dramaturgów, którzy wcale geniuszami nie są, a do rzędu których należą bezzaprzeczenia: P. Ferrari, A. Thorelli, L. Marenco, Castelnuovo i kilku innych, cała ta falanga próbuje dopiero skrzydeł do szerszego lotu. Pod względem budowy i architektoniki, dramat włoski dwojaki przedstawia kierunek: Jedne sztuki, do których należą wszystkie niemal dzieła prawdziwie oryginalne i jakąkolwiek posiadające wartość, odznaczają się dziwną prostotą intrygi, akcyi i dyalogu, prostotą często tak daleko posuniętą, że brak wszelkiego dramatycznego powikłania i scenicznego układu pozbawia je całkiem zajęcia. Drugi rodzaj stanowią sztuki, których całą zaletą jest mniej lub więcej zręczne naśladowanie sztuk francuskich, polegających prawie jedynie na dobrze przeprowadzonej intrydze.

O kilku więcej wybitnych osobistościach uprawiających niwę dramatu i komedyi, oraz o wpływie konkursów na ten rodzaj utworów literackich, pomówimy obszerniej i bardziej szczegółowo w jednej z następnych kronik. Dziś dodamy tylko to jeszcze, że jak powieść tak i dramat w braku dobrych własnych zasobów posiłkuje się wyłącznie przekładami sztuk, które pierwszy chrzest odebrały na jednej ze scen paryskich. I tu jednak wybór nie lepszy jak pod względem powieści. Tylko że tu bezpośrednim sędzią jest ogół publiczności, którym zwykle kieruje zdrowy sąd o rzeczach, często się więc zdarza, iż sztuka jakaś używająca szerokiego choć podejrzanej sławy rozgłosu, na pierwszem zaraz przedstawieniu kończy swoje krótkotrwałe życie a pogrzebowemu jej obrzędowi towarzyszy świst i sykanie. Taki właśnie los spotkał już niejednę osławioną sztukę używającą w Paryżu szerokiego rozgłosu, a między innemi i kreacyą Wiktoryna Sardou, noszącą tytuł *Rabagas*.

Jeden z medyolańskich recenzentów sprawozdanie swoje o tej komedyi kończy temi wymownemi słowy: „Kto przetłómaczył i skrócił to dzieło, niech go Erynny mają w swej opiece!“ Inni krytycy z rzadką jednomyślnością podzielili to zdanie i uznali że sztuka pana Sardou, jakkolwiek nie pozbawiona scen pięknych i dobrze pomyślanych, z powodu zbyt silnie naszkicowanych charakterów osób, których pamięć sercu każdego Włocha wielce jest drogą, wstręt tylko obudzić może w dobrze myślącym ogóle publiczności. Zdaje się, że tym razem krytycy wcale się nie pomylili i że w samej rzeczy rzeczona produkcya p. Sardou, co najmniej niestosowna w obec, Francyi dla widzów innych narodowości wstrętną być musi.

Przechodzimy do sztuk plastycznych.

Włochy miały genialnych poetów i miały równie genialnych malarzy i rzeźbiarzy. Dzisiaj minęły dla nich czasy Dantów, Tassów, Ariostów, Petrarków podobnie jak czasy Santiów, Corregiów, Murillów, Michałów Aniołów i im podobnych. Dziś zastęp malarzy i rzeźbiarzy jest liczny ale, jak o tem przekonywa niedawno otwarta doroczna *wystawa towarzystwa zachęty sztuk pięknych*, mało między nimi takich, którzyby się nad powszednią mierność wznieść potrafili. Wystawa tegoroczna zajmuje siedem czy osiem obszernych salonów, w których wszystkie ściany zawieszone są obrazami i wszystkie miejsca zastawione rzeźbą. Pomimo jednak tej obfitości ani jedna z prac wystawionych nie jest dziełem geniuszu; gdyby nie brak miejsca usprawiedliwilibyśmy obszerniej tylko co wyrzeczone zdanie—ale i tak już ramy tej kroniki przekroczyły zamierzony zakres. Wybaczcie nam zatem czytelnicy, że na pierwszy raz daliśmy wam tylko pogląd ogólny na dzisiejszy stan sztuki włoskiej—uważaliśmy to za rzecz konieczną dla wskazania stanowiska z jakiego w przyszłych kronikach na podjęte na polu sztuki usiłowania zapatrywać się będziemy.

UWAGI
dla rodziców i nauczycieli
z powodu niewłaściwego stosunku pomiędzy wykształceniem umysłowem i fizycznem.

według

D-RA GUSTAWA MÜNCH.

ROZDZIAŁ II.
O skutkach nadużycia sił umysłowych:

Gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo; to przysłowie łacińskie, najdokładniej wyraża to wszystko, co wtym rozdziale powiedzieć zamyślamy.

Jak kropla będąca symbolem czegoś małego i miękkiego, spadając bezustannie na kamień, uważany znowu za symbol twardości tworzy w nim wydrążenie, tak najprzelotniejsze wrażenia, mogą z czasem potężny wpływ wywrzeć na nasze ciało i duszę: Im dłużej się zostaje pod wrażeniem takiego wpływu, tym cięższe bywają skutki a czasem nawet stają się one nieuleczonemi. Jakże wiele chorób, na które medycyna nie znajduje środków, ma swój początek, w tych drobnostkach, zwykle przez nas lekceważonych i pomijanych. Nauka medycyny, aczkolwiek bardzo wysoko posunięta, mało dotychczas zwróciła uwagi na ten

nadzwyczajny wpływ sił przyrodzonych, które nieznacznie podkopując siły moralne i fizyczne, dość liczne sprawiają w nich spustoszenia.

Dotychczas trzymamy się jeszcze starego zwyczaju badania ważniejszych symptomów choroby, a mało zważamy na powód, który ją sprowadził, a który często i bardzo często, ma swój początek w dzieciństwie, natura bowiem nie działa pośpiesznie jak błyskawica, ale daleko ważniejszy wpływ wywiera, pracując cicho, wytrwale i bezustannie.

Przewroty w naturze bywają rzadkie i sprowadzają natychmiastowe spustoszenia; naprzykład, góry przemieniają się w doliny, jeziora powstają tam, gdzie były pola urodzajne, skały się rozpadają, ale mało kto nad tem pomyśli, że ta sama skała, dawno już ulegała działaniu tlenu zebranego w powietrzu, że woda przenosi ją w dolinę którą ozdabia bujną roślinnością i t. d.; a jednak cicha natura, potrzebuje na to całych wieków, co podobny przewrót zdziała w przeciągu kilku minut.

I wszędzie ta sama natura ożywia lub niszczy. Tak się dzieje, i z chorobami, które nawiedzają biedną ludzkość. Anioł śmierci, zbiera codzień wiele ofiar, za pomocą dwóch swoich najwierniejszych sług; cholery i suchot. Ale ponieważ cholera zabija swe ofiary raptownie, w przeciągu kilku godzin, zwracamy na nią pilną uwagę i zapobiegamy wszelkiemi środkami szerzeniu się tej klęski; na suchoty zaś, pożerające swoje ofiary nieznacznie, w przeciągu lat kilku lub kilkunastu, wcale nie zważamy, a jednak sprawozdania statystyczne wykazają, że liczba coroczna umierających z przyczyny tych dwu chorób, jest prawie jednakową.

Tak samo się dzieje z umysłem. Nadużycie sił jego, sprowadza dwa rodzaje skutków. Pierwsze działające prędko rażą piorunem władze umysłowe, sprowadzają natychmiastową chorobę— kończącą się wyzdrowieniem, lub śmiercią—drugi rodzaj, jest powoli zabijający, wyczerpujący nieznacznie siły umysłowe. Często słyszymy rodziców i nauczycieli narzekających na dzieci, że są leniwe i ociężałe; jest to największy błąd, który sprowadza najstraszliwsze skutki—gdyż dziecko, z natury swojej, jest żywe, czynne i ruchliwe. Każda więc ociężałość i lenistwo są wynikami stanu chorobliwego nieznacznie podkopującego cały system nerwowy, i z tego powodu wywierają przeważny wpływ na umysł dziecięcy.

Zatem, rodzice i nauczyciele, nim zawyrokujecie o lenistwie i ociężałości waszych dzieci i wychowańców, starajcie się zbadać przyczynę tej zmiany, a działając przezornie, z pobłażaniem i miłością, odgadujcie zarodek choroby w waszem dziecku i użyjcie środków do zwalczenia tego złego, które jest tylko wysileniem umysłowem, wyczerpaniem sił moralnych. Skutkiem tego stan taki potrzebuje wytchnienia i wypoczynku. Dziecko srogo prowadzone, lękające się wymówek lub kary, za tak nazwane lenistwo, wyczerpuje do ostatka swoje siły, z bojaźni natęża swój umysł, męczy się i przychodzi do zupełnego idyotyzmu, jeżeli jest słabe, a do wielkiego przytępienia, władz umysłowych, jeżeli jest silniejszej budowy ciała. W każdym więc razie podobna srogość i bezwzględne postępowanie jest barbarzyństwem, a skutki jego są widoczne, gdyż trudno nie przyznać, że na tym bożym świecie, daleko więcej jest ludzi tępych, nierozgarniętych i głupowetych, niż uczonych, prawdziwie rozumnych i ze zdrowym poglądem na rzeczy.

Z tego więc powodu dzieci skrofuliczne, bardziej są podległe wyczerpaniu sił moralnych, niż dzieci zdrowsze, a w dalszym ciągu życia, natężenie umysłu nad naukami, a szczególniej praca nocna, sprowadza gorączkę nerwową, której ofiarami podają najczęściej młode osoby, wiele umysłowo pracujące, kiedy przeciwnie, obłąkaniu lub waryacyi podlegają więcej ludzie dojrzali.

Tu pozwolimy sobie zrobić kilka uwag nad pobytem dzieci w szkołach. W ogólności siedzą one tam od godziny ósmej z rana, do czwartej popołudniu, z przerwą półgodzinną, lub godzinną.

To właśnie podkopuje ich siły fizyczne, a z tego powodu i umysł, gdyż dziecię, siedząc w jednej sali z 40-stoma lub 60-cioma towarzyszami oddycha przez ten czas zepsutem powietrzem. Żebyśmy uwagę zwrócić chcieli na tę masę nieczystości, kwasów i najrozmaitszych wyziewów, które te biedne istoty muszą w siebie wciągać, przejęci byśmy byli zgrozą i oburzeniem, i pojęlibyśmy lepiej zasady i zdania uczonego doktora Sonderegger, który powietrze w salach szkolnych porównywa do powietrza w miejscach ustępowych — największym zaś nieprzyjacielem człowieka, jak twierdzi zasłużony Amerykanin Dr. Leeds jest wydzielone przez niego powietrze.

Z tego powodu, następuje złe krążenie krwi, będące początkiem blednicy, osłabienia i psucia się krwi.

Przed 40-oma laty było jeszcze inaczej; wtedy ludzie byli silniejsi, mieli dużo krwi, czasem nawet zanadto, tak, że ją upuszczać musiano. Teraz puszczenie krwi zupełnie wyszło z użycia, a to z powodu— że teraźniejsi ludzie dardzo mało jej mają. Widzimy to najlepiej na kobietach, z których większa połowa z powodu bladaczki, dzieci swoich karmić nie może.

Do takiego ubytku krwi, przywiązuje się również jej zepsucie, oddziaływające na wszystkie organy i umysł; jest to słabość, która powstrzymana w dzieciństwie, może być uleczoną, zostawiona sama sobie, rozwija się i jest powodem ciągłej chorobliwości. Skrofuły i suchoty są jej najwidoczniejszemi objawami, a ileż to innych chorób ukrytych, ma swój początek w dzieciństwie?

Smutna jest przyszłość następnych pokoleń, jeżeli się system szkolny nie zmieni, sprowadza on bowiem choroby na nas i dzieci nasze, a z czasem spowoduje zupełny upadek, tak fizyczny jak i moralny wnuków i prawnuków naszych. Jak zaś temu zapobiedz—postaramy się wyłożyć w następnym rozdziale.

KRAWIEC-REFORMATOR

EPOPEA PROZĄ

przez

Teofila Tarczę.

PIEŚŃ IV.

Asesor i Wenus,

czyli

Kundman pana Anastazego-Wojciecha-Sylweryusza trzech imion Kortkowskiego, a oraz jego miłosna historya.

Pan Alfred Gromigracki służył w Sądzie Poprawczym jako asesor, pobierając 575, wyraźnie pięćset siedemdziesiąt pięć rubli pensyi. Był to człowiek poczciwy, który się nigdy nie uśmiechał. Duszę miał asesorską kompletnie; serce... asesorskie także,— i za te przymioty wart był płacy znaczniejszej nawet. Kat na zbrodniarzy — dla niewinnych obojętny. Lat około czterdziestu. Łysy już trochę na ciemieniu głowy, musiał jednakże wyłysieć tam najprędzej dlatego, że za młodu *bity był w ciemię*, bo... że nie wyłysiał wcale z innych przyczyn, z rozumu np. lub czegoś podobnego,—o tem łatwo było wywnioskować odrazu, spojrzawszy choć pobieżnie na całą jego postać, sztywną, konwencyonalną, trzymającą ręce przy kieszeniach, noszącą głowę do góry... głowę z gładkim jak lód czołem, z oczami bez blasku w świńskiej oprawie, i z bokobrodami ułożonemi w dwa plastry. Zresztą był to człowiek— *na drodze do karjery.*

W poszukiwaniu właśnie tej ostatniej, pan Alfred, przed rokiem jeszcze, postanowił był sobie pewnego ranka, pokochać pewną młodą, ładną i bogatą pannę, która, ukończywszy niedawno właśnie pensyą, była, jak akurat na to, na wydaniu. Panna była niezbyt świetnego pochodzenia. Była mianowicie córką *mydlarstwa...* jeśli można użyć takiego rzeczownika, na oznaczenie, iż i ojciec i matka panny, wywodzili ród swój, z pra-pra-dziadów i praojców swoich— od mydlarzy.

Demokratycznych zasad najzupełniej, a i nie zważający na podobne bagatelki, pan Alfred był gotów każdej chwili, z całą roskoszą asesorskiego swego serca,— pojąć pannę Anielę (jednego imienia) Łojowską za prawowitą swoję towarzyszkę, zaprzysięgając tejże *miłość* i *wierność* na wszystkie chociażby najstraszniejsze zaklęcia, gdyby rota przysięgi małżeńskiej wymagała tych zaklęć po nim. Kochał się też w pannie Anieli *najakuratniej* już od roku, pogładzając tylko z godnością angielskie faworyty, ile razy matka panny, zapraszaniem go częstszem do siebie, dawała poznać jawnie, iż nie byłaby od tego, aby poślubiwszy jej jedynaczkę, uszczęśliwił też zarazem i ją samą, panią Łojowską.

O pana Łojowskiego nie kłopotał się wcale pan Alfred— śmiertelnik ten bowiem znajdował się całkiem pod pantoflem!

Była jednak że rzecz jedna, która pogodną pana Alfreda miłość, w panieńskim mu nieraz przemieniała melancholją, każąc mu wątpić, wątpić bardzo o tem, że się serce jego kiedyś, do serca panny Anieli, po małżeńsku, jakby rzec można, sklei i zlepi!

Oto, panna Aniela, którą tak kochał, kochała... pewnego akademika. Ogromnego wisusa i zawadę chłopaka, co za buziak łady i gorące oczy, zdolny byłby polecieć do samego piekła! Nicpoń nie miał wcale żadnych ślubów w głowie, ani też mu się żadne, poważniejsze tam sentymenty śniły,— a tak tylko... że był młody, zgrabny i przystojny, chciał te przymioty swoje, na rzecz *wesela* i *uciechy*, najzręczniej ile tylko da się spożytkować. Młodzieniec był zresztą wcale niegłupi, dowcipny, zdolny, i nawet— co już dziwiło niepomału — dobrze oczytany. Bóg go wie, z kąd czas brał, na zajmowanie się książką! Uczył się przytem wybornie!

Że serduszko panny Anieli nie umiało się oprzeć tylu na raz zjednoczonym wdziękom młodego człowieka,— nikt się nie zdziwi; że się nie oparło,— spostrzegła to już i mama panny, która, żeby łacniej odwieść właśnie dziewczynę od mogącej się dla niej smutnie zakończyć skłonności,— tem chętniej była gotową wydać ją za pana Alfreda, że ten pod żadnym a żadnym względem, w opinii, jaką miała pani Łojowska o istotnych przymiotach dobrego małżonka, nie pozostawiał nic do życzenia.

Miał pozycyą—był *na etacie*—był niemłody —nie bałamut i... akuratny.

Jak wiemy, to ideał, w oczach krociów matek, na męża.

„Ratuj się sam tedy!“ — było powiedziane niejako panu Alfredowi—i pan Alfred z tego powodu w prawdziwym znalazł się kłopocie. Jakkolwiek wszystko, co wyrabiał akademik z panną, było w oczach jego *najpoczytalniejszą* zbrodnią, równającą się nawet z istoty swej *podpalaniu*,—cóż mógł jednakże dokazać on, Asesor, nie znajdując w kodeksie karnym paragrafu, pod któryby się dało podsunąć czyn delikwenta, celem osadzenia go w turmie? A tymczasem, ten jeden był tylko sposób, uwolnienia się od niego—niestety! Że ten jeden tylko, posłużyć może to za dowód, że kiedy już matka panny, pani Łojowska, przymówkami pana Alfreda ciągłemi nagabana, wymówiła akademikowi wstęp do swego domu, nicpoń dziewczynie zaczął kartki przez okno przesyłać... no, i do Saskiego wyciągał ją ogrodu! I znów tedy biedził się pan Alfred—biedził—a i kochał...

Aż nareszcie, że nic w świecie nie może być wiecznem—gdy zapał pana Alfreda doszedł już do *zenitu*, a nadzieja zdobycia panny do *minimum* swego,—zawieszony tak niejako pomiędzy dwoma biegunami,—pan Alfred zaczął nie na żarty rozważać nad środkami, odsadzenia od ukochanej natrętnego rywalka. „Nic przecie na ziemi nie może być bez rady!“ rzekł do siebie pięknego majowego poranku... i przebierając myślą w tem i owem, co mogło mu na biedę jego dopomódz, wpadł wreszcie na genialne zapytanie: *czy czasem panna Aniela nie jest mu dlatego obojętną, że się on jej dotąd wcale nie oświadczył jeszcze*, kiedy tymczasem akademik napewno to już zrobił sto razy.

Zapytać się tak siebie i... uczynić co było trzeba, byłoby dla pana Alfreda rzeczą jednej chwili, gdyby...mała niestawała na zawadzie temu przeszkoda. Oto pan Alfred nie miał porządnego fraka, a w pożyczanym lub najętym nie chciał się swej bohdance przedstawiać. Z tego powodu projekt *oświadczyn* musiał zostać jeszcze na kilka dni odłożonym.

Krawiec jednakże zaraz został przywołany, na rekomendacyą jednego z kolegów *poprawie*, który właśnie wskazał pana Kortkowskiego. Miara na frak *z najlepszego sukna* wzięta—i, że pan Alfred miał krawat jeszcze zupełnie nowy, nowe też zupełnie bo kupione niedawno rękawiczki, - zadecydowawszy zatem z mocą godną swojego planu, termin za trzy dni od onej daty,—postanowił zarazem dzień otrzymania sukni z rąk krawca, użyć na dzień stanowczej o rękę panny Anieli *deklaracyi*.

Z drżącem sercem tymczasem oczekiwał na oną godzinę. Nie wiedząc ani domyślając się nawet, jakie w sukni swej arcydzieło ma na śmiertelne plecy naciągnąć, — pasł się tylko marzeniem, jak go panna Aniela w niej przyjmie; jak na widok fraka serce jej zadrży nagle; i jak on, pan Alfred rzucając się wówczas bez zwłoki, przed osobistością jej na kolana na rączkach jej pierwszy iście-miłosny cmok, wyciśnie. Marzyły się też panu Alfredowi i rubelki posagowe panny. Urządzał już dom sobie—sprawiał bogate meble—jadał u Stępkowskiego zawsze śniadania...

Mijały chwile na zegarze wieczności... Bóg czasu po dwakroć ogłosił już światu, że po dniu noc następuje... W przeddzień stanowczego jutra—nad wieczorem—pan Alfred, brzemienną gorącemi myślami głowę, musiał sobie aż chłodzić okładami z octu...

Nadeszła chwila...

Lecz za pozwoleniem!

Dla lepszego zrozumienia dalszych epizodów tej klasycznej powieści czyli epopei, uważamy za potrzebne uprzedzić jeszcze czytelnika, iż pan Anastazy - Wojciech-Sylweriusz Kortkowski, postąpił sobie równie dyplomatycznie dla zdobycia upragnionej przez siebie sławy, jak dyplomatycznie zamierzał postąpić pan Alfred dla zdobycia serca upragnionej swojej bohdanki. Pan Kortkowski mianowicie, obawiając się by nowe arcydzieło jego nie doznało zarówno jak dwa poprzednie, wprzód już potępienia od złośliwych ludzi, zanim je kto jeszcze na sobie sprawdzi i oceni, postanowił sobie tym razem puścić je w świat drogą pewniejszą, drogą jakiej często geniusze używają w podobnych razach: *incognito*, czyli inaczej: *anonymo-pseudo-bezimiennie*, nie uwiadamiając kundmana jednem słowem o niczem co we fraku jego się mieści.

Gwałtem wciągnąć na plecy ludzkie swoje arcydzieło—kazać w tem arcydziele przechodzić im czas jakiś—i potem, gdy dopiero wartość jego utworu, sama ich już prawie w oczy ukole, wystąpić nagle przed nich z nogą wysuniętą naprzód, i rzekłszy: „oto ja jestem, którym to jeszcze i to stworzył!“ sięgnąć po należące się laury; — takie były zamiary pana Anastazego Wojciecha Sylweryusza trzech imion Kortkowskiego.

Nasz krawiec był... poetą—przypominamy.

* *

Otóż—nadeszła chwila.

Pan Alfred o naznaczonej najpunktualniej godzinie, otrzymał swój upragniony garnitur. Cóż to było za arcydzieło, powiadam państwu! Kiedy się w lustrze, ustroiwszy już należycie, w całej swej postaci w tym garniturze przejrzał,—wyglądał... no! jak Bismark na obiedzie u króla Wilhelma!

Piersi zdawały się jak ulane!

W samym pasie było lekkie zwężenie, nadające tem większej *ekspressyi* i *affirmacyi* biodrom.

Dwa rękawy szerokie przykrywały ręcę z efektem...

Spadek i układ połów, był... nie do porównania!

Mówiąc z Wiktorem Hugo, — była w tem wszystkiem... prostota i oślepienie zarazem! Skromna pretensyonalność i — bezpretensyonalna dystynkcya!

To chybaby panna Aniela okruszyny już serca nie miała, aby się przy widoku tego fraka nie wzruszyć!—aby wówczas panu Alfredowi nie podać ręki z zapałem i z okiem łzą zwilgoconem nie zawołać:

„Drogi asesorze! Zwyciężyłeś!... Chodźmy co prędzej na kobierzec!...“

Takim był pan Alfred Gromigracki, asesor Sądu Poprawczego na Pawiej ulicy, we fraku pana Anastazego-Wojciecha-Sylweriusza trzech imion Kortkowskiego, krawca-reformatora ze Starego Miasta!

A teraz...

Co dalej się stało?

(*D. c. n.*

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Lody** w rozmaitych gatunkach tak są łatwe do zrobienia i mało kosztowne, iż każdy mając przepisy ich przyrządzania pod ręką z łatwością takowe w domu zrobić może.

Do wyrabiania lodów potrzebne są następne naczynia:

1. Puszka okrągła, podługowata, cynowa, około dziesięciu do dwunastu cali wysokości, a cztery do pięciu szerokości mająca, nieco węższa u dołu niż u góry, zamykana szczelnie przykrywką z tegoż samego metalu, na wierzchu z obszernym uchem służącym do obracania puszki w lodzie.

2. Ceberek drewniany około szesnastu do dwudziestu cali wysoki, a dziesięć do dwunastu szeroki, u dołu z otworem zatykającem się czopkiem, do wypuszczania wody z topniejącego lodu.

3. Kilka wiosełek wąskich z długimi około czternastu cali trzonkami do rozbijania grudek wytwarzającego się lodu.

Najpowszechniej używane lody śmietankowe z różnemi przyprawami i owocowe.

Zasadą wszystkich lodów mlecznych jest zaprawienie mleka, wedle następujących przepisów.

Przegotować kwartę dobrego niezbieranego mleka i umięszać z sześcioma świeżemi żółtkami od jaj, ubitemi lecz nie na pianę z ćwierć funtem miałko sproszkowanego cukru—następnie wystudzić i przecedzić przez włosiane sito.

Z zaprawionego w ten sposób mleka wyrabiają się następne gatunki lodów:

Waniliowe, łót wanilii przegotować w mleku i dodać do powyższej zaprawy, przecedziwszy pierwej przez cienkie płótno.

Kawowe, dodając do powyższej zaprawy jak najmocniej odgotowanej czarnej kawy, stosownie do upodobania.

Czekoladowe. Rozgotować w wodzie kawałek czekolady i wlać do zaprawionego mleka.

Palone. Do zaprawionego w powyżej opisany sposób mleka, dodaje się dwa łuty spalonego cukru na karmel i łyżkę kwiatu pomarańczowego.

Maraskinowe. Do zaprawionego mleka, dolewa się odpowiednia ilość maraskino, stosownie do gustu, aby lody urządzone w ten sposób zawierały w sobie smak należyty i odpowiednią tęgość.

Na lody owocowe zaprawa przygotowuje się w ten sposób:

Poziomkowe. Kwartę pięknych dojrzałych poziomek, oczyścić starannie z wszelkich obcych części ugnieść w kamiennym moździerzu dodając po trochu czystej zdrojowej wody, w końcu zaś dodaje się łyżkę stołową soku cytrynowego oraz wody z kwiatu pomarańczowego. Potem całą tę masę przeciska się przez gęste płótno, a gdy się sok ustoi dodaje się półfunta sproszkowanego cukru, a gdy się zupełnie z sokiem rozpuści, odcedzić ostatecznie przez gęste płótno i jest gotowym do zrobienia z niego lodów.

W ten sposób wyrabia się zaprawa do przyrządzania lodów *wiśniowych*, *porzeczkowych*, *malinowych* i innych, nadmieniając iż owoce kwaśniejsze potrzebują stosunkowo większej ilości cukru.

Cytrynowe. Wody zdrojowej kwarta jedna, cukru półtora funta, cytryn osiem lub dziesięć stosownie do ich wielkości i soczystości, obciera się o cukier dla nadania lepszego zapachu, barwy i smaku, poczem rozpuszcza się w wodzie, gotuje na wolnym ogniu, dla otrzymania wolnego syropu, do którego następnie wciskają się cytryny, a płyn cedzi przez gęste płótno.

Pomarańczowe robią się tak samo jak cytrynowe, tylko mniej potrzebują cukru.

Ponczowe, robią się podobnie jak cytrynowe, z tą tylko różnicą, że syrop cokolwiek powinien być wysmażonym więcej i gdy są już dostatecznie w puszce zamrożone, wlewa się półkwarty rumu lub araku mieszając zwolna drewnianą łopatką, aby arak dobrze się zmięszał z całą masą.

Gdy którakolwiek z powyższych zaprawjest już przygotowaną, zlewa się do puszki, bacząc,

aby tylko dwie trzecie części jej wypełniała, reszta zaś była próżną a nakrywszy szczelnie pokrywę, wstawia do ceberka napełnionego drobno potłuczonym lodem pomięszanym z solą kuchenną, dodając takowej funt jeden na trzy funty lodu. Upchawszy szczelnie lód około puszki, zakręca się przez nią kilka minut, poczem puszka się otwiera i wiosełkiem odrywają zamrażające cząsteczki płynu około puszki wrzucając je do środka. Czynność ta powtarza się dotąd, dopóki cały płyn w puszce się znajdujący nie zgęstnieje, nieutraci swej przezroczystości i niejako śniegiem się nieokryje. Wtedy wiosełkiem zmarznięta masa wybija się jak najmocniej, co nadaje lodom miękkość i jednostajną równość. Dopełniwszy tego kilkakrotnie masa będzie równa, bez grudek i kawałków lodu przyjemna dla oka i smaku. W trakcie roboty, aby lód lepiej działał a mniej topniał, należy go wyjąwszy puszkę dobrze wymięszywać z słoną wodą, która spływa ku dołowi

Lody podawane w filiżankach, wyjmują się z puszki drewnianą łyżką, bacząc na to, aby puszka pozostawała w lodzie, chcąc zaś całkowitej kolumny użyć do ozdoby stołu, trzeba mieć naczynie głębokie napełnione ukropem, w którym na chwilę zanurzona puszka z lodami, a następnie spodem przewrócona do góry nad półmiskiem wysunie się i stanie całą kolumną. W miarę upodobania można ją przyozdobić z wierzchu konfiturami, polać sokiem, szodonem lub śmietaną ubitą z cukrem i cytryną i t. p. co zależy zupełnie od gustu lub wyboru.

* * *

— **Przyswojenie zająca.** Kwestya przyswojenia zajęcy i hodowli ich na równi z innemi zwierzętami domowemi, została już roztrzygniętą i dokonali tego wieśniacy francuscy, eksponując już od lat kilku na wystawach prowincyonalnych, coraz liczniejsze okazy, wyhodowanych u siebie zajęcy.

Przyswojenie to nastąpiło w sposób bardzo prosty i dla wszystkich dostępny. Polega bowiem na tem, aby dostać dwóch zajęcy samczyka i samiczkę ile można najmłodszych i niechować ich oddzielnie w kojcu lub komorze, lecz między ludźmi podobnie jak się chowają psy lub koty domowe.

W ten sposób wychowane zające, nietylko nie posiadają dzikiej natury, ale będą się rozmnażać w domu tak samo jak króliki; samczyk zaś połączy się z królicą i wyda nowy gatunek potomstwa, czego w inny sposób, prawie niepodobna otrzymać. Z tych mięszańców otrzymuje się podwójną korzyść, gdyż mają płodność królika, a wzrost i smak mięsa zająca. Mięszańce te łączone potem między sobą, wydają dobry gatunek zwierząt domowych, zwanych we Francyi *léporides.*

Na ostatniej Wystawie Przemysłowo-Rolniczej odbytej w Warszawie 1874 roku p. Kostrzewa Wiktor z Warszawy, przedstawił ekstra-konkursu zające-króliki (léporides) samca i samicę po roku mające i ich potomstwo, troje z marca i troje z sierpnia 1874 roku. Stare pochodziły z ojca zająca i matki królicy zrodzonych w kraju. Nowość ta nader interesująca tak pod względem pokarmowym jako i przemysłowym, mianowicie wyrobu kapeluszy kastorowych i innych wyrobów pilśniowych, nie zwróciła baczniejszej uwagi, bezwzględnie że jedna para, zdolną jest w ciągu roku wyprodukować do dziewięciu pudów smacznego i pożywnego mięsa, nader małym stosunkowo kosztem.

Leporydy rówież znajdują się w Ogrodzie Zoologicznym pana Bartelsa przy ulicy Hożej Nr. 16 w Warszawie.

Podając o tem do wiadomości naszych czytelniczek, z których nie jedna z taką troskliwością wychowuje pieski lub kotki, mamy przekonanie iż równie znajdzie się niejedna amatorka wychowania zajączka w domu lub leporida, i tym sposobem przyczyni się do łatwiejszego przyswojenia zajęcy tak samo u nas, jakto już ma miejsce we Francyi, znajdując przyjemność połączoną z korzyścią.

* * *

Wywabianie plam z kawy. Z tkanin jedwabnych i wełnianych usuwają się plamy od kawy ze śmietanką, namazaniem miejsc splamionych gliceryną, poczem zapierają się w letniej wodzie i prasują z lewej strony na wilgotno.

* * *

— **Próba wartości jajek.** Chcąc przekonać się o świeżości a tem samem i wartości jajek, należy zanurzyć je w wodzie nasyconej solą kuchenną w stosunku 30% soli na 100 części wody. Świeże jajka pójdą na dół, stare zaś będą pływać po wierzchu.

* * *

— **Limoniada w proszku.** Dwa grammy kwasu cytrynowego, mięsza się starannie z 60 gramami cukru sproszkowanego i do mięszaniny tej dodaje się jednę kroplę olejku cytrynowego.

* * *

— **Leczenie kanarków z zatycia.** Słabość ta dość pospolita między kanarkami, zwykle kończy się śmiercią, jeśli pozostawione są bez ratunku. Poznaje się potem, kiedy kanarek przestaje śpiewać, często zasypia, zupełnie jest osłabiony i kiedy zdmuchnąwszy mu piórka z pod brzucha, widzieć się daje żółty tłuszcz. W takim razie należy go skropić francuskiem winem, obwinąć w bawełnę, trzymać w cieple aby obsechł, potem z ogonka wyrwać mu dwa lub trzy piórka, a za kilka godzin zupełnie do zdrowia powróci.

* * *

— **Środek przeciw świerszczom.** Wziąć świeżych grochowin wiązeczkę, położyć na noc na środku izby, a wszystkie świerszcze wnijdą w grochowiny, które następnie można spalić lub w wodzie zatopić.

ROZMAITOŚCI.

— We Lwowie otworzono **wystawę sztuk pięknych** na której oprócz obrazów Matejki, Brandta i wielu innych, znajdują się także prace malarzy warszawskich jako to Gersona i Kostrzewskiego.

— **Aklimatyzacya nowej rośliny, w celach użytków fabrycznych.** Ameryka darzy Europę nową rośliną, rokującą w przyszłości nader ważną doniosłość ekonomiczną, jako mogącą zastąpić w użyciu len i konopie. Jestto roślina z rodzaju *Laportea postulata* odkryta w górach Alleghany w Stanach Zjednoczonych a sprowadzona do Europy przez Ministeryum rolnictwa w Berlinie w zamiarze jej zaaklimatyzowania w Prusach. Ma tę ważnośc nad lnem i konopiami, że wydaje krzak, co rok wytwarzający świeże prządy, który wiosną przez korzenie łatwo się rozmnaża, nie potrzebuje być przeto uprawianą corocznie na nowo, lecz raz urządzona plantacya dostarcza rozsadników, których uprawa mniej kosztowną niż lnu i konopi. Czynione od lat kilku doświadczenia z tą rośliną w Prusach z polecenia Ministeryum udają się najpomyślniej i przekonały, że potrzebuje gleby lekkiej, piaskowej, lecz mocno humusowej. Zimę znosi łatwo, mimo silnych mrozów jakie panowały w Prusach już poza aklimatyzowaniu tej rośliny.

— W Czeskiem mieście Rziczanie żyje **starzec 116 lat mający**, który w ciągu długiego swojego życia jeszcze ani razu nie chorował. Był żołnierzem, dziedzicem dóbr, jeńcem we Francyi, nauczycielem, i szewcem. Życie prowadził bardzo skromne i to przyczyniło się do tak długiego życia z zachowaniam całej czerstwości zdrowia.

— Jeden z niemieckich dzienników podał następującej treści ogłoszenie:

Hamburgska fabryka lasek p. X. otrzymała z Berlina obstalunek na dostawę kilku miljonów kijów do parasoli przeznaczonych dla wojska. Zachodzi jednak ważne pytanie. Żołnież nie może jednocześnie w ręku trzymać parasola i odtylcówki —jedno więc pozostawić musi w domu—ale co? Zapewne że karabin. Parasol nie wystrzeli, jest przeto bezpieczniejszy dla przyjaciela i nieprzyjaciela, niż iglicówki lub odtylcówki, przez wszystkich uznane za nader szkodliwe dla zdrowia— a potem, parasol jest równie zabójczą bronią, jak o tem można się przekonać z opowiadania o pewnym podróżniku, który na polowanie na lwa, wybrał się z parasolem Lew nadszedł, a on wepchnąwszy mu w paszczę parasol, roztworzył takowy, czem zadławił zdumionego zwierza.

— W dniu 26 maja, przybył do Wiednia niejaki p. **Dudok de Wit**, holender, który wyszedłszy z Amsterdamu 1 maja b. r. w przeciągu trzech i pół tygodni odbył pieszo drogę 150 mil wynoszącą, i tym sposobem wygrał zakład, uprzedziwszy jeszcze o 4 dni termin w zakładzie tym oznaczony. Przybywszy do Wiednia przebrał się tylko, i zaraz udał się na przechadzkę. P. de Wit jest małego wzrostu, ale dobrze zbudowany, lat ma 35.

— Gazeta di Venezia donosi o wydobyciu z głębi morza **cennych zabytków** sztuki greckiej, które na początku bieżącego stulecia wiezione przez lorda Tomasza Elgina, w czasie burzy zatonęły w pobliżu wyspy Cerigo.

— Pan Lucyan Siemieński tłómaczy ela sceny krakowskiej głośną tragedyę francuzką p. t. **„Córka Rolanda.“**

— We Lwowie zebrano dotąd 13,028 guldenów na **kupienie obrazu Matejki.**

— Panna Bogdani, po wygraniu w Wiedniu procesu, odbiera ze wszelkich stron liczne dowody współczucia. Niemogąc wszystkim podziękować oddzielnie, napisała ogólne podziękowanie, które zamieszczono w dziennikach wiedeńskich.

— Według obliczenia amerykańskich dzienników, liczba kobiet posiadających dyplomy na doktorów medycyny i mieszkających w Stanach Zjednoczonych dochodzi do 300.

— Na wystawie rolniczej w Rothfliess z pomiędzy wielu żniwiarek niemieckich i amerykańskich, najwięcej uznania zyskała żniwiarka pana Grubińskiego: **„Warszawianka.“** Sędziowie przyznali jej najwyższą honorową nagrodę.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 22 Мая (3 Іюнья) 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 35).

ROZDZIAŁ XV.

Arczy się nie cieszy.

Zakochana para powróciła Chillingford prostą drogą do raju, i wieczór przepędziła w uroczem marzeniu, pijąc zaczarowaną herbatę z zaczarowanych filiżanek, i spoglądając na księżyc częściej niż było potrzeba. Później p. Alleyne zaproponował zwykłego wista, w ciągu którego Temple Debenham ciągle przybijał najlepsze karty swego partnera, a panna Alleyne nigdy nie odrzucała do koloru.

Kiedy się rozeszli na spoczynek Debenham zaprosił Arczybalda do swego pokoju i prosił go aby usiadł.

— Masz łóżko, powiedział i masz stołek. Jednakże stołek stoi tylko na trzech nogach, zalecam więc łóżko.

Arczy usiadł na łóżku i w złowrogiem milczeniu patrzał na przyjaciela. Debenham był widocznie zakłopotany, a Arczy nie miał ochoty dopomódz mu do wyjścia z tego kłopotu. Debenham przechadzał się niespokojnie po pokoju, Arczy zaś poruszał w takt wiszącemi nad krawędzią łóżka nogami, i czekał co mu powie jego przyjaciel. Nagle Debenham zanurzył ręce w tłomoczku i wyciągnął cygarniczkę.

— Chcesz cygaro, Arczy? zapytał w napadzie gościnności.

Ale nic nie mogło rozbroić Arczybalda. Wziął cygaro w milczeniu, włożył je niezapalone do ust i ssał z ponurym wyrazem twarzy.

— Mam ci coś do powiedzenia stary przyjacielu, rzekł nareszcie Temple.

Arczy wyjął cygaro, coś mruknął, ale nic nie odpowiedział.

— Powiem ci jednem słowem, nie obwijając w bawełnę. Kocham *ją* Arczy, i *ona* mnie kocha; wszystko dobrze i jestem najszczęśliwszym z ludzi. Powinszuj mi.

To mówiąc, wyciągnął rękę i Arczy musiał ją wziąć, ale zacisnął usta i dopełnił tej ceremonii, jakby protestując przeciw niej równocześnie.

— Nie widzę wcale, żeby wszystko było dobrze, powiedział ponuro. Miałbym owszem ochotę powiedzieć, że wszystko jest źle. To cię zgubi.

— Zgubi mnie! Jakim sposobem?

— Wszystko to niedorzeczność i gorzej niż niedorzeczność. Człowiek z twoim geniuszem! teraz będziesz się zajmował twoją miłością, zamiast myśleć o robieniu majątku. Taki stosunek będzie ci ciężył jak kamień młyński uwiązany do szyi.

— Bynajmniej, natchnie mnie większą odwagą, pokrzepi ducha, i do rzeczy ważniejszych uczyni mnie zdolnym.

Arczy potrząsnął głową.

— Mam teraz dla kogo pracować.

— Mogłeś zawsze pracować dla sławy i dla majątku także.

— A teraz będę pracował dla sławy, dla majątku i dla żony.

— Dla żony! zaledwo ją znasz od tygodnia. Z czegoż będziecie żyć.

— Nie mam wyobrażenia;... kontrapunktem i miłością.

Arczy smutnie ruszył ramionami.

— O mój Boże! mój Boże! zawołał. Gdybyś się tylko był urodził w City i odebrał praktyczne wychowanie! Co powie p. Alleyne?

— Tego nie wiem.

— A pani Debenham?

— Moja matka będzie uszczęśliwiona z takiej córki. Będą się wzajemnie ubóstwiać.

Arczy jęknął na głos.

— Założę się o co chcesz, powiedział, że nie ma grosza. Stary wszystko na siebie wydaje.

— I dobrze robi zawołał rozkochany Debenham. Czy myślisz, że chcę wziąć pieniądze z kobietą, którą kocham? Nie! Wolę Julią Alleyne bez grosza, jak mówisz, niż z dwudziestoma tysiącami funtów majątku.

Arczy wstał i poszedł ku drzwiom.

— Zwaryowałeś, powiedział, szaleńcem jesteś! Ale to wszystko już mnie nie obchodzi. Wolę już nic nie mówić, niż gadać same rzeczy nieprzyjemne.

— Tak, jesteś bardzo nieprzyjemny i niewiedzieć dlaczego. Zdawało mi się, że będziesz uradowany.

— Jakże mogę się cieszyć? jestem zawiedzionym, okropnie zawiedzionym. Nie jestem sam mądry, nie mam do tego żadnej pretensyi, ale umiem poznać geniusz, kiedy go widzę. Myślałem, że będziesz wielkim człowiekiem, to było najmilszą moją nadzieją. Myślałem, że coś nadzwyczajnego napiszesz, lub zrobisz, bo co do mnie, zdaje mi się, że niema rzeczy, której nie mógłbyś zrobić, gdybyś chciał tylko. Myślałem, że będziesz sławny i ożenisz się z jaką kobietą nadzwyczaj bogatą, z Klaudyą Hardwicke może, a wtedy...

Debenham parsknął głośnym śmiechem.

— Ożenić się z Klaudyą Hardwicke! powtórzył. Wolałbym się ożenić z Lady Makbet lub z posągiem Minerwy. Bardzo ci wdzięczny jestem mój Arczy, ale proszę cię nie zajmuj się wyszukiwaniem dla mnie żony, najlepiej sobie sam w tem dogodzę. Nie bądźże tak zasępionym; powinszuj mi przynajmniej.

— Winszuję ci, bardzo ci winszuję, odpowiedział Arczy, trzymając, rękę na klamce odedrzwi.

— Boję się, że ci nie bardzo zabawnie tu było przez te ostatnie dni, mój poczciwy Arczy?

Arczy skrzywił się.

— Co prawda dosyć tu było nudno, powiedział; zupełnie o mnie zapomniałeś. Zdaje mi się że nic już nie będzie z naszej dalszej podróży; przynajmniej co do ciebie jestem tego pewny.

— Wcale nie; w każdym razie niepuszczę cię samego.

— O!... to znaczy, że chciałbyś tu ciągle siedzieć, bawiąc się w Filona i Dafne, a mnie mieć za widza tej zajmującej sielanki.

— Nie; to znaczy że niechciałbym się rozłączać ani z tobą, ani z nią. P. Alleyne skończy swój obraz za tydzień lub dziesięć dni i wróci wtedy do Londynu. Chociażbyśmy tu siedzieli do tego czasu, jeszcze nam zostanie trzy tygodnie.

— Niech kaci porwą obraz pana Alleyne! zawołał Arczy zniecierpliwiony. Ani myślę na niego czekać. Dobranoc!

I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Biedny Arczy! Bardzo niegrzecznie sobie postąpił. Ze wszystkich znanych objawów złego humoru nie ma może żadnego bardziej błahego, śmieszniejszego i mniej przyzwoitego jak trzaskanie drzwiami, ale jest to wybuch bardzo łatwy do wytłómaczenia i zapewne bardzo uspakajający. Zresztą było się czem zniecierpliwić, i trzeba przyznać, że Arczy miał poczciwą naturę, że był pobłażliwym, kochającym i wiernym jak pies, i że Debenham niegodziwie sobie z nim postąpił, zapominając o nim dla ładnej twarzyczki, której nieznał tydzień wprzódy. Trzeba mieć wyrozumienie dla niedorzeczności natchnionej zazdrością.

ROZDZIAŁ XIV.

Spotkanie nad rzeką.

Co powie p. Alleyne?

Pytanie to przeszło już przez myśl Debenhama, nim Arczybald Blyth wyraził je w najprostszy sposób. A było to bardzo niemiłe pytanie, nasuwające różne nieprzyjemne odpowiedzi, i wywołujące pełno niepokojących przypuszczeń. Był pewnym, że pan Alleyne będzie się dowiadywał o jego dochody i środki utrzymania oraz nadzieje na przyszłość, i był niemniej pewnym, że będzie w najwyższym stopniu niezadowolony ze skutku tych poszukiwań, chyba że się będzie zapatrywał na rzeczy ze stanowiska nadzwyczaj wzniosłego i artystycznego. Ale czy można się było spodziewać, ze strony pana Alleyne, tak wzniosłego i artystycznego poglądu na rzeczy? Był artystą, objawiał bardzo szczytne uczucia, lubił mówić o sobie jako o *niewolniku ideału*, o wielkim *kapłanie piękna* i różne podobne rzeczy. Ale z drugiej strony był wybrednym w jedzeniu, trudnym w wyborze wina, przyzwyczajonym do najlepszych cygar, likworów i innych zbytkowych rzeczy, i bardzo dbałym o swoje wygody. Można się więc było obawiać że pomimo pięknych frazesów z jakiemi się popisywał p. Alleyne, w obecnym wypadku, będzie się zapatrywał na miłość i małżeństwo z prozaicznego stanowiska wymagającego pewnych środków utrzymania, i zapomni o tym idealnym sposobie widzenia, mierzącym te rzeczy prawami czystego uczucia i opierającym się na uznaniu wiecznej harmonii we wszechświecie.

Zaniepokojony temi myślami, Debenham nie mógł się wstrzymać od wyrażenia ich po części pannie Alleyne, kiedy nazajutrz rano spotkali się ze sobą, niezupełnie przypadkiem, około upustu, przynajmniej na dobrą godzinę wcześniej nim *wielki kapłan piękna* pomyślał o wstawaniu.

— Widzisz moja najdroższa Julciu, rzekł, pieszcząc drobną rączkę, opartą z takiem zaufaniem na jego ramieniu; nie mam żadnego majątku.

— Zupełnie żadnego?

— Zupełnie żadnego. Mam tylko to co zarobię.

— To zupełnie jak my. Mój ojciec ma tylko to co zarobi.

— Ale ja tak mało zarabiam. Pan Alleyne jest znany i sławny, ma pełno obstalunków; nie wątpię że może zawsze sprzedać wszystko co wymaluje.

— Mógłby dziesięć razy więcej przedawać. Jedyna trudność jest w namówieniu go do pracy.

— A ja, pracuję dziewiętnaście godzin na dwadzieścia cztery, i nie mogę dojść do tego, aby grano lub wydano moje kompozycye, a tem mniej sprzedać ich...

— Jakże więc...

Zatrzymała się i zaczerwieniła ale on za nią dokończył.

— Jakim sposobem żyję? Daję lekcye, jestem organistą w małym kościołku w City, jednem słowem zarabiam zaledwie tyle, żeby się wyżywić i ubrać.

— Ale utrzymujesz twoję matkę?

— Moja matka posiada szczupłe dożywocie, uratowane ze szczątków majątku mego ojca.

Był kiedyś bogatym, zdaje mi się, ale już wszystko stracił kiedy się ożenił. Moja matka zawsze ubogą była, ale jest milionerką w porównaniu ze mną.

Panna Alleyne wskazała na drzewo obalone o kilka kroków.

— Siądźmy tam powiedziała, i pomówmy o tem.

Usiedli więc, on otoczył ręką jej kibić, ona oparła głowę na jego ramieniu i przez chwilę milczeli; milczeli i byli bardzo szczęśliwi.

— Jakże niedorzecznem zdaje się mówić o czem innem jak o miłości, powiedział nareszcie Debenham. Słuchaj ptaszków, one śpiewają i nie troszczą się o sposoby do życia. Wybudują sobie gniazdko na pierwszej gałęzi, którą sobie wybiorą i resztę zostawiają Opatrzności. Jakże uroczo śpiewa ten słowik; równie szczęśliwy jest jak my dziś rano.

— Musi to być bardzo miło mieszkać na drzewie, rzekła Julia. Lubiłabym to bardzo. Jakżeby przyjemnie było usnąć wieczorem wśród szelestu liści, i obudzić się o pierwszym brzasku jutrzenki.

— Tak, a jak oszczędnie. Ani komornego, ani podatków, ani służących. Czy chcesz spróbować. Jak ładnie wyglądałby nasz adres na biletach wizytowych: *Państwo Temple Debenham, w Wielkiej ulicy w ogrodzie Kensington, drugi wiąz na prawo, czwarta gałęź. Nota-Bene. Gniazdo jest trochę wysoko umieszczone, odwiedzający więc proszeni są o zaopatrzenie się w parę skrzydeł.*

— Co za niedorzeczność!

— Wcale nie, dla pary pozbawionej majątku...

— Nie widzę wcale co nas obchodzić może majątek, przerwała panna Alleyne, rysując ósemki na piasku końcem parasolika, i przybierając bardzo praktyczną minę. Nie idzie nam przecież o to żeby się pobrać...

— Przepraszam, mnie bardzo o to chodzi.

Panna Alleyne potrząsła ładną główką i dalej mówiła nie zważając na jego słowa.

— Nie idzie nam przecież o to, powtarzam, żeby się pobrać, dosyć nam tego, że się kochamy i jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy oboje młodzi i chociażbyśmy czekali piętnaście lub dwadzieścia lat...

— Moja najdroższa! Najdłuższe życie człowieka dochodzi zaledwie do osiemdziesięciu lat rzekł Debenham z wymówką. Zapominasz, że nie żyjemy przed potopem.

— Niechże więc będzie tylko dziesięć lub piętnaście lat.

— Nie chcę słuchać o żadnych wnioskach opartych na tak potwornych założeniach.

— Nie możesz nie słuchać o *panie* mój. Byłoby to zbrodnią stanu. Obowiązkiem twoim jest słuchać głosu czarodziejki, mądrze czy nie mądrze przemawiającej, słuchać jej we wszystkich rzeczach rozsądnych, lub nierozsądnych, widzieć jej oczyma, słyszeć jej uszami, mówić jej językiem, a nadewszystko nigdy jej nie przerywać.

— Niewolnik twój słucha, o królowo!

— Widzisz Temple (jakże uroczo powiedziała to imię, wahając się trochę, a potem wymawiając je szybko), znam mego ojca doskonale i chcę ci dać zbawienne rady, ale zamiast mnie słuchać jak gdybym była wyrocznią, a jestem nią, za każdem słowem mi przerywasz.

— Poddaje się nieomylności wyroczni.

— Najprzód więc, wierz mi, znam mojego ojca lepiej niż ktokolwiek, lepiej niż sam zna siebie. Znam wszystkie jego nawyknienia, wszystkie słabostki, wszystkie jego uprzedzenia. Kocha mnie naturalnie, ale oprócz tego, zupełnie jest odemnie zależnym. Ja urządzam jego wydatki; pamiętam o jego zaproszeniach, odpisuję na jego listy, dysponuję obiady, namawiam go do pracy. Jednem słowem jestem mechanizmem, bez którego nie mógłby istnieć, jest więc niepodobieństwem, żebym go kiedy mogła opuścić.

Debenham przybrał minę poważną.

— I jeżeli... jeżeli kiedy będziemy dosyć bogaci, żeby się pobrać za jego życia, może to być tylko pod warunkiem, że będziemy razem mieszkali i że nigdy nie będę nim mniej zajętą niż teraz.

Debenham stał się jeszcze poważniejszym.

— Musisz więc od tego zacząć, powiedziała panna Alleyne, tonem uroczo stanowczym, że mu powiesz, iż nie myślimy się pobrać jak za niewiem wiele lat, kiedy będziesz bogatym i sławnym, a potem musisz mu obiecać, że nigdy nie pomyślisz o rozłączeniu nas.

— Ale to bardzo ważna obietnica, moja droga Julciu, powiedział młodzieniec.

— Dla niego, bardzo.

— Dla nas wszystkich. Tak ważna, że mało ludzi zgodziłoby się na jej uczynienie.

— Gdybyś był księciem i ofiarował mu miliony, odpowiedziała, mój ojciec nie dałby swego przyzwolenia pod innemi warunkami.

— Ale gdybym raz dał tę obietnicę...

— Wtedy, zdaje mi się, że ojcu nicby nie szkodziło, że jesteś ubogi. Możeby to nawet wolał, bo bym nie tak prędko poszła za mąż.

— Nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że raz dawszy tę obietnicę, czułbym się uroczyście obowiązanym jej dopełnić, a to by mogło być niepodobieństwem.

— Dlaczego?

Mógł był powiedzieć, iż dlatego, że pan Alleyne był egoistą, a życie z egoistami jest trudnem zadaniem, mógł także był powiedzieć, że obowiązki i poświęcenia jakich p. Alleyne miał zwyczaj wymagać od córki stałyby się niezgodnemi z jej obowiązkami jako żony. Ale nie chciał być tak nieprzyjemnym. Westchnął tylko i rzekł:

— Jesteśmy wszyscy śmiertelnikami, każdy z nas ma swoje wady i słabości. Taki stosunek rzadko kiedy się udaje i kończy się zwykle wspólnem niezadowoleniem,

— Alebyśmy postanowili nie dozwolić, żeby coś podobnego wkradło się pomiędzy nas, będzie to od nas zależało, bo co do ojca to jest on najgrzeczniejszym i najmilszym z ludzi, jak tylko może robić to co mu się podoba.

— Tak jak wszyscy.

— Nie tak jak wszyscy. Nie tak jak ja, ani jestem pewna, nie tak jak ty.

— Jest także moja matka...

— I ona będzie z nami mieszkać, i tym sposobem będzie nas zawsze czworo do wieczornego wista. Będzie to prawdziwy raj! I, o Temple....

— Cóż, moja najdroższa?

— Gdyby i oni się zakochali!

— Co chcesz mówić? Kto?

— Pani Debenham i papa. Ja, to przepowiadam,—wyrocznia przepowiada. Zakochają się jedno w drugiem, pobiorą się, i będziemy wszyscy razem najszczęśliwszymi ludźmi na świecie.

Śmiech jej wesoło brzmiał w powietrzu, ale Debenham tylko poważnie się uśmiechnął i nic nie odpowiedział.

Panna Alleyne spojrzała na zegarek.

— O mój Boże! zawołała, czas już na śniadanie. Ktoby uwierzył, że siedzieliśmy tu godzinę.

— Gdybyś mi powiedziała, że przepędziliśmy tu trzy godziny, nie zdziwiłbym się, rzekł Debenham.

— Czy ci tak powoli czas schodził?

— Nie czytałaś nigdy poematu Longfellowa, *Mnich Feliks?*

— Owszem, Mnich Feliks wyszedł na przechadzkę, i zatrzymał się, żeby słuchać śpiewu ptaszka, a kiedy powrócił do klasztoru, wszyscy zakonnicy byli mu nieznani, i pokazało się, że sto lat minęło od czasu kiedy zeń wyszedł.

— Tak, bo ptaszek śpiewał o niebieskich radościach, mnich wpadł w cudowne zachwycenie i sto lat przeszło jak by jedna chwila. Ja jeszcze szczęśliwszy byłem od niego, nietylko słyszałem o rozkoszach raju, ale w nim byłem. Powiedz mi, że tu z tobą siedziałem trzy dni, trzy tygodnie, trzy miesiące, gotów jestem ci uwierzyć.

— Bardzo ładny komplement, zaśmiała się panna Alleyne, chociaż trochę wyszukany. Ale doprawdy nie mogę tu zostać ani chwilki dłużej

— Musisz chwilkę zostać. Pójdę dzisiaj do Monmouth poszukać pierścionka na ten ukochany paluszek. Jakżebym chciał módz wziąć jego miarę.

— Nie, nie, ja nigdy nie noszę pierścionków.

— Tym bardziej powinnaś mój nosić. Muszę ci dać znak jakiś, żeby wiedziano żeś *sprzedana*, tak jak obrazy na wystawie. Zapewne lepiej zrobię nie powracając razem z tobą do domu.

— Nie, nie, za nic w świecie. Papa będzie już i tak w okropnym humorze, kiedy zejdzie i nie zastanie gotowej kawy.

— Jak u większej części ludzi, chwila najlepszego usposobienia u pana Alleyne wypada po obiedzie?

— Tak, zdaje mi się; ale puść mnie teraz, proszę cię. Zobaczysz mnie za godzinę.

— Ach! trudno cię puścić, nawet na godzinę.

I zatrzymał ją, pokrył pocałunkami jej ręce, a kiedy mu się nareszcie wydarła, na wpół rozgniewana, na wpół śmiejąca, patrzał za nią, dopóty, dopóki nie znikła pomiędzy wierzbami.

A potem westchnął, zagryzał wąsy i długo siedział zamyślony; ale jego myśli nie zdawały się być marzeniami szczęśliwego kochanka. Niespokojny i zakłopotany nogą rozrzucał kamyki i do rzeki je popychał, jak gdyby nie wiedział co czynił.

— W każdym razie nie potrzebuję dziś z nim mówić, wyszeptał nareszcie. Jutro będzie dość czasu po obiedzie.

I otrząsając się z zamyślenia, wielkiemi i szybkiemi krokami podążył ku wiosce.

Jutro, ach! któż przewidzi jutro!

ROZDZIAŁ XVII.

Co Debenham znalazł na poczcie.

Miłość jest kosztownym zbytkiem, jak mogą zaświadczyć wszyscy kochankowie. Najbiedniejszy musi ofiarować choćby wstążkę swej ukochanej i Temple Debenham, od którego niewielu mogło być uboższych kochanków zaszedł do Monmouth tego samego dnia po południu i zamienił nową, błyszczącą sztukę złota na pierścionek dla panny Alleyne. Był to bardzo skromny pierścionek, gładka obrączka złota z serduszkiem ozdobionem małym turkusem i otwierającem się, tak że można było w niego włożyć trochę włosów. Ale Temple nie wiele posiadał sztuk złota, i nie mógł sobie pozwolić wspanialszego daru Dał złotnikowi trochę włosów do włożenia w serduszko i w towarzystwie Arczy poszedł się przejść po Monmouth.

Sumienni obydwa w oglądaniu ciekawości, w przeciągu półtorej godziny potrafili obejść starożytne miasto od jednego do drugiego końca, nie zapominając o rynku, o zamku gdzie się Henryk V urodził i o dawnym moście.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Мая 1875 г.